

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CEWA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 44 (1728) 3-9 listopada 2023


**DZIENNIK
COTYGODNIOWY**



**Orgazm
zamiast
hostii**
str. 3



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

 Tygodnik NIE

You  Tygodnik NIE

RĄBANKA POWYBORCZA

♦ Sondaż partyjnych na razie nikt nie robi – za to mamy różne takie, które wskazują, co ludzie sobie myślą o partiach i ich liderach. Na przykład United Surveys dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej” ustaliło, że 40,4 proc. Polaków sądzi, że prezydent Duda powinien desygnować na premiera Donalda Tuska; 30,2 proc. – że Mateusza Morawieckiego, a 18 proc. – że kogoś innego. Z kolei SW Research w imieniu „Rzeczpospolitej” zapytało, kto może uważać się za największego zwycięzcę wyborów. 33 proc. powiedziało, że Trzecia Droga; 27,5 proc. – że KO; 10,5 proc. – że PiS. 2,7 proc. uważa, że największy sukces odniosła Lewica, a 2,4 proc. – że Konfederacja. Najbardziej oryginalny punkt widzenia wykazali Polacy (1,2 proc.), którzy uznali za zwycięzcę wyborów Bezpartyjnych Samorządowców.

♦ Zabawiamy się tymi spekulacjami, albowiem rządu na razie nie ma i nawet się na to nie zanosi. Prezydent Duda zdaje się upajać faktem, że po raz pierwszy w życiu coś od niego zależy, więc przedłuża tę słodką chwilę, jak się da: pierwsze posiedzenie sejmu wyznaczył na 13 listopada, żeby „nie skracać kadencji”. Rozumiemy go jak najbardziej. Ta kadencja była tak znakomita, że każda jej minuta jest cenna. Poziom debaty, wybitne osobowości, intelektualne rozmowy. Choć poseł Daniel Milewski z PiS inaczej interpretuje tę zwlókę: „Zadaniem prezydenta Andrzeja Dudy jest niedopuszczenie od tego, by Donald Tusk został premierem” – ogłosił. Doceniamy szczerość.

♦ „Demokratyczna opozycja” wykazuje pewną niecierpliwość, ale sama także nie jest jeszcze do końca gotowa do rządzenia. Najnowszy spór dotyczy na przykład marszałka sejmu: czy ma nim zostać Szymon Hołownia, czy Włodzimierz Czarzasty, czy może podzielić się łupem: dwa lata dla pierwszego, dwa dla drugiego. W zasadzie logicznie byłoby, gdyby było odwrotnie: Czarzasty był wicemarszałkiem przez ostatnie cztery lata, a Hołownia w życiu nie był nawet posłem, może powinien najpierw nieco nauczyć się tego, jak sejm działa. Co oczywiście nikogo nie obchodzi, albowiem Hołownia chce za dwa lata kandydować na prezydenta i potrzebuje nabrać mocy urzędowej.

♦ Inne pogłoski wędrujące po mediach dotyczą obsady stanowisk ministerialnych. Trzecia Droga domaga się ponoć stanowiska jedynego wicepremiera dla Władysława Kosianiaka-Kamysza, podczas gdy Tusk chciałby mieć ze trzech zastępców, żeby żaden za bardzo nie wyrósł. Początkowo było też mówione, że lider ludowców ma zostać ministrem gospodarki. Jakoś nikt nie zapytał, czy nie byłoby lepiej, żeby ministrem gospodarki był ktoś, kto się zna na gospodarce, a doktor medycyny został – na przykład – ministrem zdrowia? Ostatnio pojawiła się nowa wersja: Kosiniak-Kamysz ma zostać wicepremierem i ministrem obrony narodowej. To właściwie żadna różnica, na obronie też się nie zna.

♦ Adrian Zandberg ogłosił z podziwu godną szczerością, że „Tusk oczywiście nie jest wymarzoną premierem dla Razem, ale umiemy liczyć”, toteż „nie będą się rzucać Rejtanem”, co przecięło spekulacje, że dziwięciu posłów Razem zgłasza przeciwko nowemu rządowi. Zandberg zdeklarował też, że „Marcelina Zawisza na pewno nie uchylałaby się od wzięcia odpowiedzialności za zdrowie”, jeśli koalicja obieca jej 8 proc. PKB. Doświadczenie Zawiszy ze zdrowiem polega głównie na tym, że spędziła dzieciństwo w szpitalach, co naturalnie budzi nasze szczere współczucie – ale może to jednak nie wystarczy, żeby kierować resortem? Zwłaszcza że lewica ma senatora Koniecznego, lidera PPS, który jest neurologiem i dyrektorem szpitala ze studiami podyplomowymi z zarządzania służbą zdrowia. Tak tylko przypominamy.

♦ Atmosfera w partii jeszcze rządzącej wydaje się nieco nerwowa. Prof. Gliński najwyraźniej polecił posprzątać w resorcie, co objawiło się potężną furgonetką z hasłem „Niszczymy dokumenty”, która wjechała przez bramę ministerstwa na Krakowskim Przedmieściu akurat wtedy, kiedy naprzeciwko pod Pałacem Prezydenckim obecne były kamery wszystkich telewizji. Jedyna dobra wiadomość dla PiS to most im. Krzysztofa Jurgieła w miejscowości Łas-Toczyłowo w gminie Zawady. W razie gdyby ktoś się zaniepokoił: Krzysztof Jurgiel żyje i ma się dobrze, most dostał za to, że – wedle słów wójta gminy – „pomógł nam, pokierował, gdzie mamy iść, bo nie wiedzieliśmy, od czego mamy zacząć” w sprawie budowy. Dotychczas tylko JP2 był w Polsce honorowany za życia elementami infrastruktury, ale idzie nowe.

♦ Nerwowość wykazują też dziennikarze mediów publicznych. TVPIS uruchomiła specjalną „infolinię” pod hasłem „w obronie pluralizmu mediów”, na którą widzowie mogą dzwonić, żeby poinformować medialnych funkcjonariuszy PiS, jak bardzo ich kochają. Akcja obrony kurwizji nie obywateli bez akcentów humorystycznych. Posłanka Lichocka: „Ci dziennikarze, którzy pracują w mediach publicznych, są wierni misji dziennikarskiej, wiedzą, że prawda sama się obroni, wiedzą, że warto być przyzwoitym w tym zawodzie”. A skoro już żartujemy, to dialog z mediami społecznościowymi: „Dzwoniła zapłakana kuzynka z Wrocławia. Studiowała na filologii angielskiej, przyszła odgórna decyzja, że ma ją zmienić w trybie pilnym na germanistykę. Cztery lata studiów w piach. Tracimy suwerenność. Stajemy się niemieckim landem”. Odpowiedź: „Mam tak samo, miałem owcześnie podhalańskiego na hali, budzę się rano, patrzę, a jest niemiecki”.

Z URNY URBANA

Przypominamy wykład Urbana o najnowszej historii Polski we fragmentach felietonu z grudnia 1993 r., kiedy w wyniku wyborów odsunięto od rządów ekipy posolidarnościowe, a ich miejsce zajęła lewica kojarzona z peerelowskim układem władzy.

Wiosna Jaruzelskiego

W sposób prosty i zrozumiały najnowszą historię Polski opowiedzieć można, jak następuje: Po II wojnie światowej zwycięskie mocarstwa postanowiły wschodnioeuropejski kraj, Polskę, pod względem geograficznym przesunąć na Zachód, a pod względem politycznym na Wschód. Tak rozciągnięta Polska stała się w rozkroku, a potem nauczyła się robić szpagat.

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, Stany Zjednoczone Ameryki oraz Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii zgodnie uznały, że ustrojem Polski będzie demokracja parlamentarna. Jej wprowadzenie powierzono wypróbowanemu miłośnikowi parlamentaryzmu, generalissimusowi Józefowi Stalinowi. Po niewielu latach potęgi zachodnie ogłosiły jednak, że Józef Stalin zawiódł ich szczere spodziewanie, a ustrój Polski nazwały totalitaryzmem.

Totalitaryzm w Polsce polegał na tym, że ludność, głosząc, zawsze wybierała istniejącą już władzę, natomiast zmieniała ją, strajkując i odbywając manifestacje uliczne. Gdy głosów za istniejącym rządem nikt nie liczył, a liczbę sprzeciwiających mu się rachowała policja, nie zaś komisja wyborcza.

Latem 1980 roku część ludności obaliła rządzącą ekipę Gierka. Program zwycięzców, na których czele stał elektryk Lech Wałęsa, przewidywał skrócenie czasu pracy około 16 proc., za to podniesienie płac około 25 proc. Każdy, kto zadeklaruje, że chce dostać nowe mieszkanie, miał je otrzymać najpóźniej w pięć lat po oznajmieniu tego pragnienia. W przeliczeniu na pieniądze oznaczało to, że np. po pięciu latach pracy pracownik otrzymywałby z góry wynagrodzenie za następne dziesięć lat.

Do pilnowania tych zobowiązań władzy powołano związek Solidarność.

Teraz jednak po raz pierwszy ludność, która obaliła Gierka, nie poszła do domów, lecz nadal strajkowała. Bardzo to denerwowało nowe władze, z Kanią i Jaruzelskim na czele. Gene-

rał Jaruzelski nie rozumiał czegoś, co po nim już pojmowali premierzy o ilarazie inteligencji ulokowanym między zającem a szczurem: że ludność jest od tego, żeby strajkować i manifestować, a władza od tego, aby rządzić – i obie strony mogą robić swoje, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Totalitaryzm w Polsce polegał bowiem na przewrażliwionym traktowaniu różnych kryzysów, strajków i pochodów.

Związek Radziecki, który miał powierzoną sobie dbałość o funkcjonowanie w Polsce demokracji, zaczął gromadzić swoje wojska na granicy z Polską. Ludzie Wałęsy byli zdania, że Moskwa tylko straszy, ludzie Jaruzelskiego uważali natomiast, że w tym pokerze lepiej nie sprawdzać kart partnera. Poza tym Jaruzelski sądził, że nawet tylko straszyć lepiej własnymi siłami. Operacja taka nazwana została stanem wojennym, hu, hu, hu. Postraszyć udało się jednak tylko znikomą mniejszość ludności, mianowicie posiadaczy telefonów. Do niemających telefonów żadne pogrożki jeszcze nie docierały, odwaga taniała i to było podłożem nowej słabej fali strajków w 1988 roku.

Zgodnie z totalitarnymi regułami gry musiała ona doprowadzić do zmiany władzy. Ponieważ jednak w PZPR ubywało członków i nie było już z kogo tworzyć nowej ekipy rządowej, podjęto rozmowy z opozycją, żeby nowy rząd uzupełnić ludźmi Wałęsy. Niechący doszło przez te rozmowy do rywalizacyjnych wyborów w 1989 roku. Wybory zaś były sposobem zmiany władzy, do którego ludność nie była jeszcze przyzwyczajona i go nie rozumiała. W rezultacie wyborcy, zamiast zmiany ekipy rządzącej, spowodowali mimo woli nieoczekiwaną zmianę ustroju.

Zwycięska Solidarność, która objęła władzę, zastosowała politykę dokładnie odwrotną od głoszonej w 1980 i 1981 roku. Zamiast popierać strajki, zaczęła je dusić, zamiast nadal zwiększać inflację, ona ją brutalnie zmniejszała, zamiast

podnosić płace, obniżyła je gruntownie, zamiast każdemu przydzielać mieszkanie, przestała je dawać komukolwiek, zamiast zakazywać eksportu, poczęła go forsować, zamiast oddać fabryki we władzę samorządów pracowniczych, posprzedawała je kapitalistom. O tak, samorzady umarły, zabite przez wyznawców idei Rzeczypospolitej Samorządnej.

Trwało to cztery lata, w czasie których ludność nauczyła się tego, że nie ma już totalitaryzmu, a więc dla zmiany władzy nie należy wychodzić na ulicę kupą, bo wystarczy, żeby każdy pojedynczo poszedł do lokalu wyborczego. Po raz pierwszy od 1989 roku do władzy powrócili nietryknieci jeszcze sklerozą członkowie dawnego kierownictwa partyjno-państwowego: Kwaśniewski, Oleksy, Miller, Sobotka, oraz działacze niższego szczebla. Stoją oni mocno na straży demokracji parlamentarnej. Dlaczego? Nareszcie żadne strajki i manifestacje nie pozbawiają ich posad. Nareszcie powstają ustrojowe warunki do umacniania i wprowadzania pragmatycznych reform, przeciw którym w latach 1980–1981 wojowała Solidarność.

W 1993 roku ekipa Jaruzelskiego osiągnęła więc wszystkie cele, jakich nie udało jej się osiągnąć poprzez stan wojenny: Solidarność jest mała, słaba, bez znaczenia, jej historyczny przywódca izolowany, bezradny, samotny i zajęty swoimi dworskimi duperelami, dawny aktyw Solidarności grzecznie współpracuje z komuchami w sejmie i w terenie. Ludność zrobiła się spokojna, rozumiejąca reguły gospodarki. Napoczęte w latach osiemdziesiątych reformy ekonomiczne postępują bez lipy i zbędnych ograniczeń! Władza ma demokratyczną legitymizację. Piętno totalitaryzmu i satelictwa zostało zdjęte i pogrzebane. O czymże więcej mógł marzyć Jaruzelski i my, jego ludzie?

URBAN

PRASA ŚNIADANIOWA

Portal fronda.pl przypomina, aby w listopadzie katolicy modlili się za zmarłych bezdomnych. Bezdomni są na pewno głęboko wdzięczni za to wsparcie.

Mateusz Morawiecki zapłacił za poprawę zasięgów swoich wpisów na Facebooku ponad pół miliona złotych. A może lepiej było siedzieć cicho?

„Jestem wiernym sługą mojego pana Zbigniewa Ziobry” – powiedział **poseł Mariusz Gosek**. Ciekawe, jaką karę dostanie Gosek za odzywanie się bez pozwolenia.

AKSiM w Toruniu zaprasza na dwuletnie studia podyplomowe na kierunku Dziedzictwo Myśli Jana Pawła II. Czy można się obronić z kremówek?

Boris Johnson dołączył do stacji telewizyjnej GB News jako komentator, prezydent i twórca programów. Mateuszowi wróżymy karierę w wieczorne kabaretowym w Polsce.

Telewizja Polska uruchomiła infolinię w obronie pluralizmu mediów. Lepiej było zrobić szturm modlitewny.

MARTA M.



RYA: TOMASZ WĄTER

Kto byłby najlepszym premierem w tym kraju?



Facebook

Anna Maria Pantera: AI – bezpartyjny, nieprzekupny, wszechstronny.

Andrzej Glogowski: Tylko Stanisław Żółtek i Menelowe +!

Maciej Dadej: Adam Malysz, ekonomiczny jest.

Adam Kiersnowski: Św. Mikołaj, bo uwielbiamy prezenty.

Maciej Dadej: Andrzej Gołota, chętny do bitki, a i uciekać potrafi.

Olga Jastrzębska: Pan Jezus. Bo w tym kraju bez cudów nic się nie działo.

Michał Walewski: Ojciec Tadeusz.

Kuba Grzyb: Najman. Wytrzyma na stanowisku najwyżej parę sekund, więc jest szansa, że uda mu się niczego nie spierdolić

Igor Miodyński: Manfred Weber!

Łukasz Mania: Żadne Tuski, na premiera tylko Suski!

Joanna Gremblewska Krzysztof Putyra: Norbi.

Bądź Lepsi: Kosiniak premierem i Kamysz wicepremierem.

Maciej Dadej: Przyłębska, przynajmniej nikt nie chodźby głodny.

Maciej Dadej: Wojciech Fibak, światowiec, ma wszelakie kontakty.

Jacek Nieckarz: Niestety nie ma go już wśród nas...

Forum

Ośka QqRydz-Qqć: Rydz, a jego wice – „jakaś” Mejza.

Molestowani przez Pana Boga.

Orgazm zamiast hostii

Przeczytałam właśnie powieść „Żal po napletku” Shaloma Auslandera. O ile Philip Roth w „Kompleksie Portnoya” sztydził z „żydostwa”, o tyle Auslander wgrzył się w nie po same trzonowce, przeżuł, strawił i zdefekował. Abstrahując od konfliktu palestyńsko-izraelskiego, bohaterowie obydwu książek zaszczuci przez własną wiarę i żądze dochodzą do ściany absurdu i szaleństwa.

„Jak pięknie cię skrzywdzili” – mówi żona do głównego bohatera „Żalu po napletku”. W tym wymiarze niedaleko pada katolicyzm od judaizmu.

Z psychologicznego punktu widzenia powiedzenie, że wszyscy jesteśmy dziećmi ucieki Boga, nabiera zupełnie nowego znaczenia.

Bóg ci w dupę

„Pan od filozofii mówił o jakimś facie, który twierdził, że Bóg umarł. No byłoby miło, lecz złego diabła nie biorą: Bóg był żywy i był chujem” – pisze Auslander i punktuje bez litości pusty i cyniczny model wychowania oparty na wpajaniu dzieciom wizji bezlitosnego Wszechmocnego. Dorosły już bohater wciąż niejako z urzędu i przyzwyczajenia wierzy w system kary i nagrody, wygenerowany na metodologii grzechu i pokuty. Auslander nazywa to molestowaniem teologicznym, którego owocem są nerwica i nieusuwalny lęk przed karą.

„Czytam w internecie na temat praw zwierząt: »Młodego cielaczka odbiera się matce i wpycha do boksu o szerokości nie większej niż sześćdziesiąt centymetrów. Cielę stoi przywiązane i nie może się obrócić, rozprostować nóżkę ani się położyć». Czyli całkiem jak w jeszuiwie – albo jak w madrasie, albo w szkole katolickiej. [...] Cielętom przynajmniej nikt nie robi wody z mózgu i nie wmawia, że gdzieś tam wysoko w niebie zasiada Wszechmocna Krowa, która kiedyś objawiła, że losem cieląt jest dusić się w boksie i że boks jest darem z niebios od samej Krowy Wszechmocnej dla jej stada wybranego, a jeśli cielaczek spróbuje ucieczki lub ma własne zdanie, lub moczy na boku, nie ma Krowy w sercu, i jak cielę Krowie, tak Krowa cielęciu” – wyjaśnia Auslander i chociaż trudno porównywać katolicyzm w polskim wydaniu z bliskim ortodoksyjnym judaizmem, schemat tresowania w pobożności jest niemalże identyczny.

Jak żywe stanęły mi przed oczami lekcje religii, na których

katechetka wtłaczała nam, kilkunastoletnim dzieciom, słodkim jak kandyzowany cyjanek potasu głosem, że rodzice skończą w piekle, jeśli nie zmówimy pacierz, nie pójdziemy na mszę i Krowy, tfu, Boga mieć w sercu nie będziemy.

I to pełne lęku oczekiwanie na paroksyzm Bożego gniewu na żeńskie świniny w piątek czy grzebanie w majtkach. Już samo powiedzonko „za jakie grzechy?” jest wystarczają-

cym dowodem psychicznego spierdolenia, jakie wyrządziły te praktyki. Absurdalne z logicznego punktu widzenia przewinienia i z dupy wyjęte konsekwencje. Przyczyna nocnego moczenia się wielu w dzieciństwie i zapowiedź uzależnienia od benzodiazepin w życiu dorosłym tych, którzy otorbili się w winie. Wszystko oczywiście w imię Ojca i Syna...

„Chuju pierdolony! – wołałem do Pana w myślach, kiedy uciekł mi autobus. – Raz byś se kurwa odpuszcł” – pisze Auslander.

Autodestrukcyjny przestrach przed wiecznym potępieniem ma wiele wymiarów i swoją nazwę: nerwica eklezjogenna. Mam kiepską wiadomość dla wierzących: Kościół, który z rzeszy wariatów zrobił świętych, akurat od tej psychozy umywa ręce, więc nici z ewentualnej beatyfikacji. Dla nawróconych ateuszów jest jeszcze nadzieja. Ale o tym za chwilę.

Z Bogiem na kozetce

Amerykański biolog i neurolog Robert M. Sapolsky w swojej książce o psychofizjologii stresu „Dlaczego zebry nie mają wrzodów?” w rozdziale o wsparciu społecznym przytacza cytaty z amerykańskiej gazety satyrycznej „The Onion”: „W poniedziałek postawiono diagnozę pozwalającą wyjaśnić niezrozumiałe i sprzeczne ze sobą aspekty kosmosu, które wprawiały w zakłopotanie teologów, filozofów i innych badaczy stanu człowieka przez tysiące lat; okazuje się, że Bóg, Stwórca Wszechświata i długoletnie bóstwo miliardów wiernych, cierpi na psychozę maniakoalno-depresyjną”. Boga, jak wiadomo, nie ma – jak dla mnie w powyższej klasyfikacji można zamknąć wszystkich jego wyznawców. Sapolsky stara się jednak znaleźć odpowiedź na pytanie, czy religia faktycznie szkodzi zdrowiu.

Naukowiec wskazuje, że wierzenia i praktyki religijne mogą w pewnym stopniu korzystnie wpływać na utrzymanie dobrej formy. Choć nieco się zdziwiłam, wyjaśnienie tej teorii wydaje mi się, ateistyczne, całkiem akceptowalne. Dla wierzących to kolejny cios, tym razem w duchowość: argumenty koło cudu nawet nie stały.

Po pierwsze, bycie religijnym zwykle wiąże się z życiem w określonej wyznaniowej społeczności i tym samym oznacza wsparcie społeczne. Po drugie, w znaczącej liczbie wyznań religijność zazwyczaj oznacza mniej hulawczych czynników ryzyka typu palenie tytoniu, chłanianie i ćpanie (wiem, jak śmiesznie to brzmi w odniesieniu do rodzimego katolickiego bigosowiska, ale nie będę się kłócić z naukowcem), wskutek czego minimalizuje się uszczerbek na zdrowiu. Trzecia kwestia obejmuje istnienie Boga jako antidotum na egzystencjalną pustkę. Krótko mówiąc, może i nie do końca wiadomo, kim bóstwo jest, ale przynajmniej wiadomo, kto jest odpowiedzialny za katastrofę kolejową z dziesiątkami ofiar czy wygranie thermomixa w konkursie radiowym. Jeśli dorzucić do tego pakietu zasady gry, rytuały, których przestrzeganie pozwala zwiększyć przewidywalność humoru bóstwa, wierny zyskuje dodatkową warstwę kontroli i komfort redukcji stresu.

Przestrzegałeś zasad wiary, a mimo to twojemu dziecku urwało głowę w wypadku komunikacyjnym? Zona zachorowała na stwardnienie rozsiane? Bóg powierzył ci ciężar, którego nie mógłby powierzyć nikomu innemu.

Wypełniasz plan łaskawego i pełnego miłości bóstwa. Czy można wyobrazić sobie większe wsparcie?

Ale żeby nie pierdzić brokatem, Sapolsky przytacza badania Sharon Packer, psychiatry z New School of Social Research w Nowym Jorku,



które dowodzą, że religia może skutecznie redukować stresory, ale nader często owe stresory kreuje.

Do dupy z takim Bogiem

Nerwica eklezjogenna (z języka greckiego: *ecclesiae* – kościół, *gignomai* – być wytworzonym) została wyodrębniona i zdefiniowana jako jednostka chorobowa przez berlińskiego ginekologa Eberharda Schaetzinga w roku 1955. Początkowo zjawisko ograniczało się tylko do zaburzeń sfery seksualnej i dotyczyło głównie kobiet. Schaetzing badał kobiety problem z osiągnięciem orgazmu, a za jedną z przyczyn tego smutnego stanu rzeczy wskazał silne zahamowania na tle religijnym. Tłumienie potrzeby seksualnej i traktowanie przyjemności jako czegoś złego prowadziło do zaburzeń na tle nerwicowym.

Według profesora Lwa-Starowicza w Polsce na schorzenie to cierpi ok. 9 proc. kobiet i 5 proc. mężczyzn. Aż dziw, że tak mało. Albo wiara tak słaba, albo nie wszyscy zdiagnozowani...

Niemiecki psychoterapeuta Klaus Thomas rozszerzył pojęcie nerwicy

eklezjogennej również na zaburzenia lękowe i zaburzenia osobowości na tle religijnym, co ciekawe, zwłaszcza rodziców. Thomas wyróżnił też dwa składniki nerwicy eklezjogennej: religijny strach i depresję.

Pierre Solignac nazywa to nerwicami chrześcijańskimi i wini za nie tradycyjne nauczanie chrześcijańskie. Paul DeBlasse III pisze o nerwicach religijnych, które wywołuje toksyczne chrześcijaństwo charakteryzujące się legalizmem i sztywnym instytucjonalizowaniem. Według niego czynniki te wpływają negatywnie na rozwój człowieka, tłumiąc jego niezależne myślenie i twórczość. Na ogół oddziaływanie toksycznego chrześcijaństwa jest zjawiskiem nieświadomym („Toxic Christianity: Healing the Religious Neurosis”, 1992).

Im bardziej fundamentalistyczne wierzenie religijne, tym większa szansa na zagrożenie zdrowia psychicznego.

Przejebane.

Mój Bóg jest lepszy niż twój

Jako że pewne zwyczaje nie podlegają negocjacji, rodzimy Kościół

katolicki – z braku odmiennych doświadczeń duchowych – problem postanowił sprowadzić do ataku na wiarę. Ojciec Antoni Jozafat Nowak, zmarły w 2013 r. franciszkanin z Zakonu Braci Mniejszych, piastujący swego czasu stanowisko kierownika Katedry Psychologii Życia Wewnętrznego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, postawił sprawę jasno: „Dla tego, kto rozumie Kościół święty i jego misterium, kto w niego wierzy, termin »neuroza eklezjogenna« będzie nie tylko nonsensem, ale może również próbą atakowania Kościoła świętego”. Ojciec Nowak specjalizował się w stygmatach, opętaniach i egzorcyzmach, więc wiedział, co mówił.

Dr Andrzej Molenda, psycholog religii, w pracy „Wybrane aspekty nerwicy eklezjogennej. Perspektywa psychoterapeutyczna” zauważa: „Powszechność nieprawidłowego wychowania religijnego oraz infantylnych i niedojrzałych form indywidualnej religijności to czynniki decydujące o ukrytym charakterze zjawiska nerwicy eklezjogennej. Ponieważ nerwice te w lżejszych formach są zjawiskiem powszechnym, zatem możemy tu mówić o ukrytym problemie społecznym, który wpływa na dobrostan psychiczny znacznej części społeczeństwa. Problemu niedojrzałych rodzajów religijności obecnych w naszym społeczeństwie nie można lekceważyć. Kwestia ta jest nieobecna w refleksji i debacie publicznej”.

Bóg? To się leczy

Narrator „Żalu po napletku” uczęszcza na terapię, żeby wyleczyć się z Boga. Jak pisze Auslander: „Rozglądałem się w osłupieniu i nie mogłem się nadziwić, że tylu ludzi na świecie poszukuje Boga i znajduje Boga, choć każdy kolejny z Bogów jest gorszy od poprzedniego, ziele głębszą nienawiścią i większą żądzą zniszczenia; ja zaś marzę tylko o tym, żeby Bogu wreszcie uciec i w końcu z Nim zerwać. Co mi nie wychodzi. Szczerze wierzę w Boga. I to mój wielki problem”.

Religijność przypomina zespół stresu pourazowego. Szczęśliwie nawrócenie na ateizm to połowa sukcesu w procesie zdrowienia.

Może w przyszłości doczekamy procesów sądowych, gdzie na ławach oskarżonych zasiadą katecheci, sukienkowi i siostry zakonne, a rachunki za terapie będą za-lewać kurie.

I w końcu wykształcimy w społeczeństwie zbiorową odporność, jebak-sycylinę na urojonego Boga.

IDALIA DUBICKA

MÓZDZEK TYGODNIA

Stopniowanie głupków: kiep podgłupiasty, mały głupek, zwykły głupek, głupek nadzwyczajny (zwany wielkim), poseł Prawa i Sprawiedliwości po wyborach, poseł Daniel Milewski, obojętne po wyborach czy przed nimi.

Poseł PiS Daniel Milewski po wyborach powiedział w telewizji Polsat News: „Jeżeli Mateusz Morawiecki poszedł do Andrzeja Dudy i tak

powiedział [że PiS ma większość i może sformułować rząd – przyp. red.], to ja mu wierzę”.

Trzeba być arcymatem, żeby wierzyć arcyłgarzowi.

Dalej Milewski w Polsat News: „Zadaniem Prawa i Sprawiedliwości, jak również pana prezydenta jest dzisiaj niedopuszczenie do tego, aby Donald Tusk był premierem. Zrobimy wszystko, żeby tak się nie stało.

Bo to jest zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa i suwerenności [...]. Andrzej Duda jako Prezydent RP ma pełne prawo nie chcieć tego, aby ktoś był premierem. To jest jego decyzja. On ma dziś możliwości kreacyjne w tym zakresie”.

Możliwości kreacyjne wobec rozumu posła Milewskiego mieli jego rodzice oraz matka natura. Nie wykorzystali szansy.



W dziurze Morawieckiego

Fatalny stan finansów publicznych to kolejny neoliberalny mīt.

Przebojem tego sezonu politycznego powoli staje się dziura Morawieckiego. To narracja uprawiana przez liberalnych publicystów ekonomicznych, a także nowych posłów, którzy roszczą sobie prawo do występowania z pozycji ekonomicznego autorytetu – i używam słowa „autorytet” w bardzo luźnym rozumieniu, zważywszy że w grupie tej przodują Izabela Leszczyna i Ryszard Petru. Opowiadają oni, że „PiS zostawia finanse publiczne w tak złym stanie, że może zabraknąć pieniędzy w budżecie na koniec roku” (Petru) i że „oszuści” z PiS „ukrywali przed wyborami, że w tegorocznym budżecie jest gigantyczna dziura Morawieckiego” (Leszczyna).

Autorytetem z sejmu odpowiadają naukowcy z Polskiej Sieci Ekonomii. To organizacja głównie młodych ekonomistów z wyraźnie keynesowskim spojrzeniem na gospodarkę. Opracowali oni list otwarty, zatytułowany „Czas na inwestycje w regenerację!”, w którym dość brutalnie rozprawiają się z neoliberalnymi mitami, głoszonymi przez sieroty po Balcerowiczu z antypisowskiej centroprawicy. Główna teza tego listu jest taka, że „pieniądze są i będą”: że polski dług nie jest ani szczególnie wysoki na tle innych krajów europejskich – wynosi bowiem poniżej 50 proc. PKB – ani nie jest dla nikogo niespodzianką, albowiem Eurostat kontroluje go na bieżąco, uwzględniając dług pozabudżetowy, czyli wydatki wyprowadzone do Polskiego Funduszu Rozwoju i BGK, oraz że to wyprowadzanie, jakkolwiek niekorzystne z punktu widzenia przejrzystości finansów publicznych, nie jest autorskim pomysłem PiS, bo robi to wiele krajów UE. Polska gospodarka ma się nieźle, sytuacja finansowa jest relatywnie stabilna i jest to moment na podjęcie historycznej decyzji o zmianie filozofii rozwoju państwa: odejścia od modelu opartego na „napływie zagranicznego kapitału, eksporcie i mało innowacyjnym podwykonawstwie” (co spowodowało, że „Polska to kraj o relatywnie niskich płacach, niskich podatkach dla największych korporacji i niskich nakładach na dobra publiczne i wspólne”) na rzecz inwestycji w usługi publiczne. „Wydatki na poprawę jakości życia społeczeństwa to nie »rozdawnictwo«, ale gospodarne inwestycje” – czytamy w liście.

W sumie – piszą uczeni – nie ma powodu do alarmu: „Jako środowisko naukowe badań nad gospodarką jednoznacznie zaprzeczamy opiniom

o fatalnym stanie polskiego budżetu i konieczności rezygnacji z obiecanych inwestycji i wydatków publicznych; straszenie »ukrytą dziurą budżetową« nie ma uzasadnienia ani w teorii, ani w rzeczywistości gospodarczej”. Po czym pointują bardzo trafnie, że rezygnowanie ze spełniania obietnic wyborczych ugryzie nową władzę w dupę: „Rząd, który zaprzepaści historyczną szansę na zmianę modelu rozwojowego III RP, nie przetrwa fali słusznego społecznego gniewu”.

Nie muszę wam mówić, jak zachwyciła mnie fraza o „słusznym społecznym gniewie”, która jest, co to dużo kryć, elementem narracji zgoła lewackiej.

Wśród sygnatariuszy listu – poza młodymi ekonomistami z PSE, takimi jak Michał Możdżeń czy Jan Oleszczuk-Zygmuntowski – są wybitni uczeni, którzy radykalnie wpłynęli na polską debatę publiczną. Autorzy ważnych książek, które przeddefiniowały neoliberalny i elitarny dyskurs o polskim rozwoju, jak Adam Leszczyński („Ludowa historia Polski”), Andrzej Leder („Prześniona rewolucja”), Marcin Piątkowski („Złoty wiek”). W sumie ludzie obiektywnie zasługujący na zaufanie bardziej niż Petru z Leszczyną.

Zgoda: obiektywizm nie ma tu nic do rzeczy i nikt (a już na pewno Donald Tusk) nie będzie słuchał lewackich uczonych, skoro ma pod ręką „głównego doradcę Platformy Obywatelskiej ds. gospodarczych i programowych”, niejakiego Andrzeja Domańskiego, który tytułów naukowych wprawdzie nie posiada, za to jest „trzykrotnym laureatem nagrody »Alfa« dla najlepszego zarządzającego funduszami rynku akcji”. Stąd wielu moich

lewicowych znajomych lęka się ogromnie, że nowa władza – w której jakąś, choć raczej marginalną rolę będzie odgrywał lewica – przystąpi z marszu do polityki cięć, poodbiera świadczenia społeczne wprowadzone przez PiS i generalnie „będzie tak, jak było”.

Pozwalam sobie na odrobinę optymizmu.

Nie dlatego, żebym wierzyła, że dawni budowniczości polskiego kapitalizmu spod znaku Kongresu Liberalno-Demokratycznego i koleisie, których życiowym osiągnięciem było noszenie teczki za Balcerowiczem, nagle dojrżeli i zrozumieli, na czym polega prawdziwy zrównoważony rozwój społeczny.

Sądzę jednak, że dojrżeli i zrozumieli, na czym polega przegrywanie wyborów.

Donald Tusk nie musi być zainteresowany losem samotnej matki z trójką dzieci czy młodego prekariatu na umowach śmieciowych – wystarczy, żeby był zainteresowany własnym. Jeśli powrócił z Brukseli do Polski i rzucił się w katorżniczą dwuletnią trasę kampanijną, usłaną hejterami, to dlatego, że kocha władzę i dla jej zdobycia oraz utrzymania jest gotów poświęcić wszystko.

Miejmy nadzieję, że obejmie to także jego młodzieńcze poglądy na temat gospodarki, na której się wszak – w odróżnieniu od polityki – nie zna.

Powrót do neoliberalnej, antyspołecznej, prowadzonej w interesie najbogatszych na koszt biednych polityki gospodarczej to dziś polityczne samobójstwo. Myślę sobie, że Donald Tusk jest dość bystry, żeby to rozumieć.

AWŁ



WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Zakończyła się tegoroczna akcja „Znicz”, która inaczej niż zeszłoroczna trwała aż sześć dni. Dzień Zmarłych wypadł bowiem w środę. Policjanci bardzo się cieszyli, że mogli okazywać swoją mundurową wyższość, karząc i karząc kierowców za przekroczenie prędkości o 15 km na godzinę, źle zamontowane foteliki dla dzieci i parkowanie na trawnikach. Wszystko pod przykrywką zabiegania o bezpieczeństwo i kulturalną jazdę.

■ Ceny paliw rosną z prędkością 5 groszy na dobę. Jeżeli tendencja się utrzyma, 31 grudnia litr etyliny kosztować będzie 35 zł. Prezes Orlenu spać może jednak spokojnie. Jakkolwiek głupie mogą być jego decyzje, nikt nie został nigdy zwolniony z pracy za przysparzanie przychodów (nawet nieuzasadnionych) własnej firmie.

■ Do niebywalej sytuacji doszło w Zakopanem, gdzie jeden z górali wybrał się na cmentarz przy ul. Nowotarskiej. „Zobaczylem, że przy wejściu stoi dorodny jeleni. Na oko sześć, siedem lat. Chciałem go obejść, ale on nie chciał być obchodzony” – relacjonuje. Kiedy mężczyzna chciał przepędzić rogacza, ten zaatakował porożem. Powalił

górala na ziemię i okaleczył. Zwierzę przepędziło uzbójnię w szpadle pracownicy zakładu kamieniarskiego. Zwierzęta kopytne nie są mięsożerne i nie atakują ludzi. Ale w Zakopanem wszystko się może zdarzyć. Unikniecie zatem tego wszystkiego złego, jeżeli do Zakopanego nie pojedziecie.

■ Dziś wyleciał pierwszy samolot LOT-u na trasie Wrocław–Seul. Był pełen Koreańczyków (220), którzy z utęsknieniem czekali na bezpośrednie połączenie lotnicze z macierzą. Diaspora koreańska we Wrocławiu liczy według jednych szacunków 1,5 tys. osób, według innych 5 tys. Mają oni tu już własne banki, fabryki, osiedla, przedszkola i kościoły. Nie mają własnego cmentarza. Chowani są na niemieckich, które obecnie są nasze. Przybyli z dobrymi intencjami. Tak twierdzą.

■ Na dziedzińcu Pałacu Potockich w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie mieści się Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, zaobserwowano furgonetkę z napisem na burcie: „Niszczymy dokumenty”. Rzecznik ministerstwa wyjaśnił, że niszczone są dokumenty mniejszej wagi i bez większego znaczenia, co ma charakter rutynowy dla każdego ministerstwa.

■ Rada miejska w Poznaniu zadecydowała o wprowadzeniu opłaty za balkony. Taksowane będą balkony wystające ponad miejskimi chodnikami. Stawka wynosi od 1 do 10 groszy dziennie za metr kwadratowy balkonu. Jest uzależniona od tego, na którym piętrze znajduje się balkon. Im niżej, tym drożej. Wielkopolska gospodarność ma niekiedy oblicze dość kuriozalne.

■ Krzysztof Cieciora, podsekretarz stanu w Ministerstwie Rolnictwa, chwalił ukraińskie rolnictwo, które mimo wojny dostarcza na polski rynek olej rzepakowy, mięso drobiowe i ziemniaki w ilościach o 40 proc. większych niż przed wojną, ale za to po bar-

dzo atrakcyjnych cenach. Nie podoba się to polskim rolnikom, ale ci zawsze potrafili sobie znaleźć powód do biadolenia.

■ Prokuratura Rejonowa w Stargardzie bada, czy postrzelenie rolnika pracującego w polu mogło mieć jakiś związek z ćwiczeniami strzelniczymi policji, które odbywały się na pobliskiej strzelnicy. Sądząc z dużej odległości między postrzelonym a ćwiczącymi, jest to niemożliwe. Jednak korelacja miejsca i czasu wyraźnie wskazuje, że powinien istnieć jakowyś związek przyczynowo-skutkowy. Poza policją do rolników nikt wówczas nie strzelał. Naszym zdaniem mógł w tym maczać palce sam Pan Bóg, który wszak kule nosi. Po prostu palec boży.

■ Złe wieści obnażające niskie kompetencje służby zdrowia nadeszły ze Skarżyska-Kamiennej. Lekarz został wezwany do stwierdzenia zgonu 74-letniego mężczyzny. Ustalił, że nastąpił on z przyczyn naturalnych. Następnie ciało zabrano do kostnicy. Tam pracownicy zakładu pogrzebowego zauważyli, że denat ma wbity nóż w klatkę piersiową. Powiadomiono policję, a ta prokuraturę w Skarżysku. Prokuratura wstępnie ustaliła, że najbardziej prawdopodobną hipotezą tłumaczącą obecność noża w klatce piersiowej jest samobójstwo. Yhm?! Zdarzają się na tym świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom. W każdym razie dobrze, że ów nóż nie tkwił w plecach trupa.

■ Nieprzyjemną przygodę przeżył 39-letni Krzysztof M. z Sowina, który miał zapłacić 100 zł mandatu za nienoszenie maseczki w czasach służnie minionych. Ale nie zapłacił. Sąd zamienił zatem grzywnę na areszt, do którego M. też się nie stawiał. Wydano zatem za nim list gończy, o czym nie wiedział. Kiedy ustalono miejsce pobytu bezmaseczkowca w celu doprowadzenia go do więzienia, wysłano grupę antyterrorystyczną policji. Widząc uzbrojonych po zęby i zamaskowa-

nych drabów, pan Krzysztof uznał, że ma do czynienia z bandytami. Dobył zatem broni. Oddał kilkanaście strzałów ostrą amunicją w obronie własnej, jak twierdzi. Kiedy się poddał, tłumaczył, że nie przyszło mu do głowy, że w Polsce, aby wyegzekwować stuzłotowy mandat, wysła się jednostki uzbrojone w karabiny maszynowe. Szerze powiedział, że my też do tej pory o tym nie wiedzieliśmy. W każdym razie wszyscy żyją. Bezmasieczkowiec siedzi. Byłoby lepiej, aby broń, z której strzelał, posiadał legalnie – utrzymuje prokuratura. Ale na razie to nie wiadomo.

■ Władze Katowic obwieściły natomiast otwarcie Społecznego Ministerstwa ds. Samotności w pięknej odremontowanej przez magistrat kamienicy przy ul. Mikołowskiej 44. Ministerstwem zawiaduje fundacja, która raczej bez pomocy urzędu nie miałaby czym zawiadywać. Ministerstwo ma zwalczać katowicką samotność, zwłaszcza wśród własnych urzędników rekrutujących się z dobrych znajomych fundatorów.

■ Tak, tak! To ja byłem tym facetem, który 26 października na poboczu autostrady S7 opodal Nidzicy w zapadających ciemnościach i padającym deszczu przez pół godziny starał się zatrzymać jakieś auto. Złapałem gumę w moim. Przystąpiłem do wymiany koła, ale ze zgrozą stwierdziłem, że nie mam lewarka. Ominęło mnie jakieś 500 samochodów. Żaden polski fiut nawet nie zwołnił. Zatrzymał się dopiero Ukrainiec w dostawczaku. Pożyczył mi swój lewarek, ale nie bardzo pasował. On jednak stwierdził, że to niemożliwe, aby w subaru nie było lewarka. I wiecie co? Rzeczywiście! Znalazł mój lewarek w bagażniku, gdzie ja nie mogłem go znaleźć, ratując mi tym sposobem życie. Ślawa Ukrainie!

PS Wieści pochodzą z prasy regionalnej, przez co za ich prawdziwość nie bierzemy odpowiedzialności. Tak czy siak, działają jednak pedagogicznie i wyglądają seksownie.

RJ

Mydłkowaci picerzy

„Ostrzegamy, że siły polityczne czujące się zwycięzcami wyborów, już dziś potężne medialnie, dominujące we wszystkich obszarach, zamierzają całkowicie zlikwidować wolność słowa i pluralizm w Polsce” – wydalił z siebie apel bliźniacy Karnowscy, zwani „bliźniakami mniejszymi”, ci od skrajnie pisowskiego tygodnika „Sieci” i portalu internetowego wPolityce.pl. I dalej zaapelowali „do wszystkich Polaków o zdecydowany opór wobec tego planu zniszczenia pluralizmu w mediach publicznych i prywatnych”. Nie podpowiedzieli, na czym ten opór miałby polegać.

Pluralizm w mediach Karnowskich polegał i dalej polega na nieustannym jebaniu dotychczasowej opozycji i Tuska oraz wkładaniu jęzorów do anusów polityków PiS-u i Jarosława Kaczyńskiego. Przyznawaną przez redakcję braci Karnowskich nagrodę Człowiek Wolności od 2015 r. otrzymali kolejno: Andrzej Duda, Jarosław Kaczyński, Julia Przyłębska, Piotr Gliński, Mateusz Morawiecki, Daniel Obajtek, Kaczyński po raz drugi, Mariusz Błaszczak. A jest to w dodatku w ich wydaniu propagandą tak tępa, że nie sposób jej porównać (czego w swoim czasie zaznał Jerzy Urban) do Goebbelsowskiej. Goebbels był zdecydowanie subtelniejszy.

Zdawać by się mogło, że „siły polityczne czujące się zwycięzcami wy-

borów” pozbawią teraz Karnowskich ich medialnych zabawek, a oni sami popadną w niedostatek. Otóż nie pozbawią. Wydawcą tygodnika „Sieci” i portalu wPolityce.pl jest prywatna spółka

Fratrria, należąca z kolei do dwóch innych podmiotów związanych z Grzegorzem Biereckim, twórcą słynnych SKOK-ów, i w drobniejszej części do samego Jacka Karnowskiego oraz jego brata.

Warto zwrócić uwagę, że jednym z udziałowców Fratrii (najistotniejszym) jest spółka Apella, spółka córka podmiotu SaltLux Holding z siedzibą w Luksemburgu, założonego w celu „optymalizacji podatkowej”. Innym współwłaścicielem Fratrii jest „Spółdzielczy Instytut Naukowy Grzegorz Bierecki sp. jawna”, kolejne wcielenie spółki, która przejęła majątek Fundacji na rzecz Polskich Związków Kredytowych. Przez kilkanaście lat składały się na niego wszystkie spółdzielcze kasy oszczędnościowo-kredytowe działające w Polsce. To wszystko tak z grubsza, bo wgrzybać by się w to trzeba dokładnie i długo.

W każdym razie nikt im tego nie odbierze, apele są więc nie wiadomo po co.

I bliźniacy także nie popadną w niedostatek. Jak policzył kilka miesięcy temu Onet, w ciągu siedmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy w prowadzonym przez Karnowskich tygodniku „Sieci” spółki skarbu państwa wykupiły reklamy o wartości ponad 142 mln zł. W tym okresie tylko z tytułu dywidend wypłacanych z zysku spółki do kieszeni Jacka i Michała Karnowskich wpłynęło około 5 mln zł – podał też Onet. Ufff, to jednak na biednych nie trafiło. Bo z jednej strony dopływ gotówki ze spółek

skarbu państwa, z drugiej umiejętnie optymalizowanie podatków (choć to trochę sprzeczne z głoszoną ideą polskiego patriotyzmu i złej UE).

Uspokoilem się jednak w każdym razie, że głód im nie grozi.

...

Ryczą też z bólu ranni: Tomasz Sakiewicz („Gazeta Polska” i portal Niezależna.pl – kolejny po Karnowskich beneficjent olbrzymich budżetów reklamowych spółek skarbu państwa), Dorota Kania (skompromitowana wielokrotnie w swoim czasie, a aktualnie szefowa przejętej przez Daniela Obajtka grupy medialnej Polska Press) oraz Danuta Holeccka (twarz tępej telewizyjnej propagandy na kontrakcie, który pozwolił jej zostać milionerką).

Wszyscy oni by chcieli pluralizmu i wolności słowa. Ja się tylko z tego cieszę, bo wolności Kocham i rozumiem, wolności oddać nie umiem.

...

Kilka miesięcy temu w ramach konserwatywnego prawicowego pisowskiego urozmaicenia nominat Kaczyńskiego w Orlenie Daniel Obajtek kazał wycofać tygodnik „NIE” z punktów sprzedaży, które są pod jego kontrolą (stacje paliwowe i kioski Ruchu), a Poczta Polska, jak najbardziej obsadzona pieśczochami prezesa Jarosława, monopolista na rynku prenumeraty, zerwała z nami umowę o dostarczanie tygodnika do prenumeratorów.

Wszystko to w ramach wspomnianych tu po wielokroć pluralizmu i wolności słowa. Co za radość z tego pluralizmu!

...

Mam nadzieję, że się Karnowscy z Sakiewiczem swoją hipokryzją nie obrzygają. A jeśli miałoby już im się zacząć zbierać w przewodach, to zdążą do kibelka.

Dupa biskupa

Dąbrowa Górnicza – epilog.

Od orgii na plebanii do rezygnacji biskupa – tak można krótko podsumować aferę związaną z książkową imprezą w Dąbrowie Górniczej. Ma ona jednak więcej wątków, które zasługują na uwagę.

Przypomnijmy: w służbowym mieszkaniu ks. Tomasza Z. na terenie parafii NMP Anielskiej w Dąbrowie Górniczej w nocy z 30 na 31 sierpnia kapłani Kościoła kat. zorganizowali imprezę połączoną z uciechami cielesnymi wyłącznie w męskim gronie. Dla urozmaicenia klerikalnego towarzystwa zamówili sobie chłopaka spoza firmy, który miał im pomóc łamać szóste przykazanie. Impreza jak impreza, ale ta akurat wymknęła się spod kontroli. Chłopak do towarzystwa stracił przytomność po zażyciu obecnych na spotkaniu środków odurzających, a jeden z uczestników orgii powiadomił o tym pogotowie. Pozostali imprezowicze – w obawie o swą reputację – nie chcieli wpuścić ratowników medycznych do kapłańskiego przybytku rozkoszy. Musiała interweniować policja. 27-latek trafił w końcu do szpitala, z którego nazajutrz wypisał się na własne żądanie. Mimo intensywnych starań nie udało się sprawie ukreślić łba i o Dąbrowie Górniczej stało się głośno nie tylko w Polsce, ale i na świecie.

Kościół ponizony

Gdy już nie dało się milczeć, kuria sosnowiecka wydała komunikat, w którym oświadczono, że powstała komisja badająca sprawę. Bepe Grzegorz Kaszak, ordynariusz diecezji sosnowieckiej i jeden z głównych bohaterów skandalu, choć w orgii nie uczestniczył, napisał list, w którym prosił diecezjan, by modlili się za „obolałych i zawstydzonych księży”. Wzbudziło to powszechną wesołość, zwłaszcza użycie przymiotnika „obolały” w kontekście orgii seksualnej. Ks. Tomasz Z., który użyczył mieszkania na gejparty, też napisał – z Turcji, gdzie przebywał na „zaplanowanym wcześniej urlopie”. Bez żenady kazał się wszystkim odstosunkować. „Odbieram to jako ewidentne uderzenie w Kościół, a w tym w duchowieństwo i wiernych, by poniżyć jego pozycję, zadania i misję” – napisał w liście wysłanym do mediów. Ale i tak został odsunięty od obowią-

ków (był redaktorem sosnowieckiej edycji tygodnika „Niedziela”), zabrano mu mieszkanie służbowe.

Pierwsze echa były oddolne: pijany 38-latek podpalił drzwi bazyliki w Dąbrowie Górniczej – na terenie tej parafii była impreza. Jako że jest to stara świątynia, gość będzie odpowiadał za zniszczenie zabytku. A klerowi dał paliwo do napędzania narracji o nagonce na Kościół i agresywnym antyklerykalizmie. Bepe Kaszak w swoim liście podkreślił, że facet zniszczył miejsce dla katolików święte, stanowiące jednocześnie „bezcenny obiekt dziedzictwa narodowego”. Rzeczywiście, budynek nie jest niczemu winien.

Kaszak do wycięcia

Inni oburzeni nie byli tak radykalni, ale też dali wyraz swojej frustracji. Powstała internetowa petycja, której sygnatariusze domagali się, by papież odwołał bepe Kaszaka ze stanowiska. To ordynariusz sosnowiecki – ich zdaniem – jest przaprzyczyną kolejnych skandali wybuchających w diecezji. Niedawno przecież mieliśmy do czynienia z morderstwem diakona przez księdza, który następnie popełnił samobójstwo. Wcześniej rozwiązano seminarium sosnowieckie, bo zbyttnio kwitła tam miłość, ale niekoniecznie do Pana Boga. Kaszak zaś był protegowanym kontrowersyjnego kardynała Alfonsa Lópeza Trujillo, który – jak pisał „The New York Times” – „krążył

po szeregach seminarzystów i młodych księży, szukając mężczyzn, aby uwodził”, oraz „rutynowo zatrudniał mskie prostytutki, czasami bijąc je po seksie”.

W petycji o odwołanie Kaszaka napisano m.in.: „W świetle niedawnych wydarzeń, które wstrząsnęły nie tylko sercami wiernych, ale każdego, kto wierzy w ludzką godność i prawość, wzywamy Biskupa Sosnowieckiego, Grzegorza Kaszaka, do podjęcia najtrudniejszej decyzji w swojej posłudze – rezygnacji. Wzywamy do utworzenia watykańskiej komisji, aby prawda została ujawniona, a sprawiedliwość triumfowała. Apelujemy o powołanie komisji z udziałem osób świeckich, która przywróci wiarę w przejrzystość i uczciwość naszego Kościoła”. I rzeczywiście bepe Grzegorz Kaszak zrezygnował. Papież rezygnację przyjął, a tymczasowym zarządcą diecezji został abepe Adrian Galbas z Katowic.

Uzdrowienie relacji

Presja ma sens? Być może, ale nie chodzi bynajmniej o presję wiernych. Prawdopodobnie większy wpływ na to, że Kaszak zrezygnował (a raczej go „zrezygnowano”), miała deklaracja prezydenta Sosnowca na Facebooku. Arkadiusz Chęciński napisał: „Nie jest tajemnicą, że Kościół rzymskokatolicki jest stałym elementem życia Sosnowca i regularnie z nim współpracujemy. Chcielibyśmy robić to dalej. Natomiast z uwagi na ostatnie doniesienia z diecezji negatywnie wpływające na opinie o mieście, oburzenie mieszkańców Zagłębia i brak wyraźnego odcięcia się od tych spraw zmuszają mnie do podjęcia przyskiej decyzji o zawieszeniu współpracy miasta z diecezją sosnowiecką do czasu podjęcia realnych działań naprawczych”.

Groźba odsunięcia od samorządowego cya podziiała zapewne skuteczniej niż mdłe apele szarych owieczek o nawrócenie i „staniecie w prawdzie”. Sosnowiec stanął w awangardzie i pokazał, jak jednym wpisem w mediach społecznościowych uzdrowić relacje władzy z Kościołem.

Grzegorz Kaszak mimo wszystko wychodzi z tej sytuacji zwycięsko. W komunikacie o jego rezygnacji nie podano jej powodów, nie został też w żaden sposób ukarany, może więc spokojnie cieszyć się statusem biskupa seniora. W lutym przyszłego roku skończy dopiero 60 lat, jest więc bardzo młodym emerytem, który może korzystać z wszelkich przywilejów biskupich, za to nie ma żadnych obowiązków. Diecezja musi mu zapewnić mieszkanie, wikt, opierunek i emeryturę. Całkiem miękkie lądowanie, jak na tak poważne zarzuty. Oplaca się mieć plecy w Watykanie. A jeszcze bardziej – miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Omawiana przez nas w zeszłym tygodniu plotka o rzekomym zawale Putina okazała się zbyt blaha dla redaktorów Radia Zet, zatem ogłosili oni, że Putin po prostu nie żyje: „»To pewne, ostateczne i nieodwołalne« – stwierdził Walery Solowiej, rosyjski analityk polityczny. Doprecyzował, że prezydent zmarł 26 października o godz. 20:40. Podobne informacje trafiły do opinii publicznej już wcześniej. Solowiej to jednak pierwsza osoba, która przekazała to w wywiadzie”. Informujemy zatem, że pewne jest, iż Joe Biden utopił się w basenie. Pan Mietek spod GS-u jest pierwszą osobą, która przekazała to naszej redakcji w wywiadzie.

★ Szczepan Twardoch podzielił się wrażeniami z ukraińskiego frontu: „Gen. Żaluzny jest jedyną postacią z panteonu ukraińskiej polityki, która cieszy się szacunkiem wojska, bo o pozostałych politykach, wszystkich, naprawdę wszystkich, słyszałem od żołnierzy wyłącznie słowa powszechnie uznawane za wulgarne. O prezydencie także, jak najbardziej, oni go nienawidzą”.

★ Prezydent Białorusi Alaksandr Łukaszenka skomentował wybory w Polsce: „Z tym referendum [polski racyl] doszedł do śmieszności. Będziemy burzyć czy nie będziemy. Polacy to zuchy! Nie spodziewałem się takiego wariantu: oni po prostu nie wdali się w grę tych obsikanych pisowców. Oni utarli im nosa. I faktycznie doprowadzili opozycję do władzy. [...] Polacy pokazali: róbcie tak, jak my chcemy, w przeciwnym razie wyrzucimy was. Polacy to zuchy!”. Szkoda, że z ust polskiego prezydenta Polacy nie usłyszeli tylu ciepłych słów.

★ Z danych straży granicznej wynika, że Ukraińcy stanowią większość przemytników ludzi działających na terenie Polski. W ubiegłym roku za przemyt ludzi zatrzymano 546 osób, z tego znaczną większość, bo aż 321 osób, stanowili Ukraińcy. Na dalekim drugim miejscu znaleźli się Gruzini (61 osób), a dalej Polacy (51), Białorusini (42) i Mołdawianie (21). Cóż, Ukraińcy mają doświadczenie w przekraczaniu polskiej granicy.

★ Andrzej Skwarczyński w korespondencji z Kijowa na łamach tygodnika „Sieci” wyjaśnia, dlaczego ukraińscy mężczyźni boją się wychodzić na ulice: „Ukrainę obiegały przesłane sobie przez wszystkich nagrania z telefonów komórkowych. Na jednym z nich żandarmi próbowali wciągnąć do furgonetki młodego mężczyznę, który, niczego się nie spodziewając, szedł wieczorem po chodniku. Krótki film pokazuje, jak chłopak próbuje się wyrwać, a ludzie z okien krzyczą do żołnierzy, żeby go zostawili, że są gorsi od Rosjan. Ostatecznie wojskowi musieli się przestraszyć presji społecznej i odjechali jak niepyszni. Tego typu łapanki są konsekwencją coraz liczniejszych przypadków nieodbierania przez poborowych wysyłanych listownie powołań w szeregi ukraińskiej armii”. Żelenski powiedział: „Zwycięstwo Ukrainy uwolni świat od problemu, jakim jest niebezpieczna Rosja”. Bez wątpienia.

★ Marcin Wyrwał podsumowuje w Onecie stan ukraińskiej kontrofensywy: „Kiedy pustoszeją zachodnie magazyny, Rosja wyprowadza USA i UE razem wzięte w produkcji amunicji. To wszystko zbiega się z definitywnym jesiennym paraliżem frontu. Ukraińska kontrofensywa kończyć się w przygnębiającej atmosferze błędów popełnionych przez zachodnich sprzymierzeńców i pośród obaw, czy Rosjanom uda się przejąć inicjatywę”. Nic dodać, nic ująć.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com



Pasożyt zaufania publicznego

Są dwie profesje, o których mówi się, że to nie zawód, lecz charakter.

Prawie milion dzieci nie otrzymuje należnych im alimentów. Prawie 600 tys. matek z utęsknieniem czeka, co komornikowi sądowemu w imieniu ich i Rzeczypospolitej Polskiej uda się wyrwać od nieplacącego ojca. Komornik zaś ma to gdzieś. Dzięki takiemu podejściu Polska bije rekordy w nieściągalności alimentów. Nie płaci ich 80 proc. tatusiów i mamus. Ale komornik pierdołami nie będzie się zajmował.

Łowcy nagród

Wykonuje przecież zawód zaufania publicznego. Jest gwarantem wykonalności wyroków sądowych. Jest przedstawicielem władzy publicznej. Posiada własne kompetencje i działa przy sądzie rejonowym, korzystając z ochrony prawa przysługującej funkcjonariuszom publicznym. Bo według Ustawy o komornikach sądowych i egzekucji komornik sądowy to funkcjonariusz publiczny. Taki jak sędzia, policjant czy prokurator.

Idąc na policję czy do prokuratury, udajemy się do instytucji państwowej. Takiej, której pracownikom państwo płaci z naszych podatków według oficjalnego taryfikatora. Kiedy jednak śmigamy do komornika, to wchodzimy do kancelarii. Takiej jak adwokacka czy radcowska. A ani adwokat, ani radca prawny nie są zatrudnieni przez państwo. Żyją z tego, co zarabiają na klientach. Komornik też tak ma. Tylko że jego klientami są wierzyciele. Choć w zasadzie raczej ci, którzy wierzycielom wiszą kasę. Od wyciągniętych od takich ludzi i firm pieniędzy komornik potrąca swoją prowizję. W jego interesie jest zatem dopadanie dłużników, którzy wiszą najwięcej.

Czy wyobrażamy sobie, że tak mogłaby działać policja? Wszyscy gliniarze chcieliby pracować wtedy w przestępczości gospodarczej. Drobnymi złodziejami i chuliganami, którzy w sądach byłiby wyceniani na jakieś śmieszne grzywny – przy prowizyjnym systemie wynagrodzeń – nikt by się nie chciał zajmować. Tak samo jak jakimś bzdurnymi awanturami domowymi.

Dokładnie tak samo byłoby z prokuratorami. Ściągaliby tylko grube przestępcze ryby. A i to tylko wtedy, gdy taki gangus nie zaferowałby prokuratorowi kasy większej, niż ten dostałby za jego schwytanie i postawienie zarzutów.

Prywatne komisariaty policji państwo kontraktowałoby tak jak usługi budowlane. A kancelarie prokuratorskie niczym dzisiejszych adwokatów bywających oskarżycielami posiłkowymi.

Jeśli jednak nikomu coś takiego się w głowie nie mieści, to dlaczego komornik ma tak nienormalny status, jaki ma?

Komornicy według tego, co robią, są przedsiębiorcami. Prowadzą przecież kancelarię na własny rachunek. Tymczasem jeden z artykułów ustawy o komornikach stanowi: „Komornik nie jest przedsiębiorcą w rozumieniu przepisów regulujących podejmowanie, wykonywanie i zakończenie

działalności gospodarczej”. Jeśli ktoś sądzi, że nie nie rozumie, to niech się nie przejmując, bo to dopiero początek idiotyzmów.

Partnerstwo państwowo-prywatne

Skoro ustawowo komornik jest funkcjonariuszem publicznym działającym przy sądzie rejonowym, to egzekucja sądowa w sprawach cywilnych jest aktem władzy publicznej. Czyli komornik czynności egzekucyjnych nie wykonuje jako osoba prywatna, ale w imieniu państwa. Mało tego, powierzone przez państwo czynności egzekucyjne komornik wykonuje, używając pieczęci urzędowej z godłem państwa. Korzysta też z ochrony prawa przysługującej funkcjonariuszom publicznym i ma uprawnienia choćby do legitymowania ludzi. No i do stosowania środków przymusu. A we współczesnych państwach przyjęło się, że stosowanie środków przymusu jest monopolem państwa. Państwa, z którym komornik nie ma nawet umowy o pracę!

Biegli w konstytucjonalizmie prawnicy śmieją się, że debilny status komorników jest jeszcze zabawniejszy. Bo jest on również pracownikiem w rozumieniu prawa pracy. Powołuje go bowiem minister sprawiedliwości, ale stosunek pracy nie nawiązuje się z chwilą powołania, lecz dopiero z dniem zgłoszenia ministrowi sprawiedliwości objęcia lub utworzenia kancelarii.

A potem resort sprawiedliwości dba o to, żeby komornikowi było dobrze, a budżetowi państwa niekoniecznie. Do komorników trafiają wszak należności sądów z racji grzywien, nawiązek i opłat



sądowych. To przecież należności skarbu państwa, takie, które bez straty nawet grosza powinny być ściągnięte przez urzędy skarbowe. Nie zaś przez prywatne kancelarie, które potrącają słone prowizje od należnych podatnikom pieniędzy.

Sztuka nicnierobienia

W Europie dominują dwa modele działania komornika sądowego. W tej bardziej cywilizowanej części jest on urzędnikiem państwowym, na przykład w Finlandii czy Niemczech. Ale w post-socjalistycznej spuściźnie, jak choćby w Rumunii i Słowacji, jest przedsiębiorcą. Kim jest u nas – nie wiadomo.

Jeśli bowiem ktoś ponosi ryzyko ekonomiczne, prowadząc biznes pod nazwą kancelaria komornicza na własne nazwisko i rachunek, to jednak jest przedsiębiorcą. Ale jeśli – oprócz wszystkiego, o czym pisałem wcześniej – dodamy, że komornik de facto nie ma możliwości odmowy przyjęcia sprawy, z którą zgłosił się do niego wierzyciel, to jednak przedsiębiorcą nie jest. Nawet bowiem prowadząca na własną rękę działalność prostytucyjną pani może dowolnemu klientowi odmówić. Komornikowi nie wolno. Co z punktu widzenia ustawodawcy jest słuszne, bo bez tego brałby tylko sprawy z największą szansą na duży zarobek. A tak jest zobowiązany przyjąć wniosek nawet od kobiety, której eksmęża nie stać, by miesięcznie płacić 300 zł na dziecko.

Gdyby komornik był na etacie, to waliłoby go, czy ścigał przekręciarza wiszącego komuś parę milionów, czy alimentarza. Sztuka byłaby sztuką. Jeśli jednak prowadzi biznes, za własną kasę wynajmuje lokal i zatrudnia personel, to choćby sam był ascetą, musi myśleć o pozyskiwaniu kasy w sposób optymalny. Zwłaszcza że prawo daje mu widełki opłat, które nie mogą być niższe niż 150 zł i wyższe niż 50 000 zł.

Dlatego 99 proc. sił, środków i czasu komornik poświęci na egzekwowanie wielkich długów dających mu te pięć dych. A w kwestii alimentarza ograniczy się do wysłania na policję kwitu o ustalenie adresu.

A po pół roku odpisze pani, że nie udało się, ale jest szansa. Po kolejnym pół roku znów wnioszek na policję, potem następna odpowiedź i tak do końca świata. W tym czasie komornik ogarnie przecież kilka nader łakomych i prostych egzekucji. Z jego biznesowego punktu widzenia to działanie racjonalne. Z punktu widzenia państwa również. Tak się bowiem składa, że prawo stanowi, iż: „Uzyskane opłaty egzekucyjne, po potrąceniu wynagrodzenia prowizyjnego komornika, stanowią dochód budżetu państwa”. Im więcej wyciągnie komornik, tym więcej zarobi budżet. Dzięki takiej procedurze wiadać, gdzie państwo polskie ma matki wychowujące dzieci nieplacących groszowych alimentów tatusiów. Takich, których nie opłaca się ścigać.

TOMASZ BOROWIECKI

GADMAN

Ratujcie młodych!

Po ostatnich wyborach parlamentarnych dwie partie znacząco zmniejszyły swą reprezentację w sejmie. Zjednoczona Prawica, czyli PiS, który zapewne do końca tego roku posiadana władzę straci. No i Lewica, która stratę poprzednio posiadanych mandatów poselskich może sobie zrekomensować udziałem w przyszłej koalicji rządzącej jako trzeci i formalnie najsłabszy partner. Udział we władzy może Lewicę wzmocnić, ale też może być dla niej pocalunkiem śmierci.

Nowa trójkolorowa koalicja zacznie realnie rządzić dopiero na przełomie grudnia i stycznia. Od początku lekko jej nie będzie. PiS szybko pokaże jej, jaka naprawdę może być totalna opozycja, a prezydent Duda zażąda wysokich rekompensat za każdy swój kooperacyjny gest wobec rządzących. Chcąc nie chcąc, nowa koalicja będzie musiała układać się z prezydentem. Nie pozwalając totalnej opozycji na jakiegokolwiek dzielące koalicję projekty polityczne i publiczne debaty.

Ale to jeszcze nie koniec złych wiadomości dla koalicji rządzącej, a zwłaszcza Lewicy. Czeką nas kolejny trójskok wyborczy. W kwietniu 2024 r. będą wybory samorządowe, w maju 2024 r. wybory do Parlamentu Europejskiego i w drugiej połowie 2025 r. wybory prezydenckie.

To oznacza, że pierwsze dwa lata rządów nowej koalicji upłyną w czasie nieustającej kampanii wyborczej. Kolejnych geizerów obietnic wyborczych i propagandowego łomotu. Pracy tysięcy spin doktorów na rzecz oszukiwania potencjalnych wyborców, systemowego zidiocenia ciemnego wy-

borczego ludu. Szanse na merytoryczne państwotwórcze debaty i działania będą ograniczane do minimum. Bo dominować będzie prymat wyniku wyborczego nad koniecznymi, acz niepopularnymi decyzjami.

Jak wygrać trzy razy?

Najważniejsze dla koalicyjnego parlamentu i rządu będą wybory prezydenckie. Utrzymanie większości w sejmie i senacie przez dwa lata i pozyskanie swojego prezydenta w 2025 r. da wreszcie trójkolorowej koalicji następne dwa lata nieblokowania już przez prezydenta rządów.

Aby wygrać prezydenckie wybory, trójkolorowa koalicja musi nie tylko postawić w finale na wspólnego kandydata. Wcześniej nie może skłócić swych elit politycznych i przede wszystkim swych wyborców. A to zdarzyć się może w czasie czekającej nas dwuletniej wojny wyborczej.

Najłatwiej udać się może trójkolorowej koalicji kooperacja w czasie wyborów do Parlamentu Europejskiego. Wszystkie trzy partie są programowo prounijne. W przeciwieństwie do coraz bardziej antyunijnej PiS-u i Konfederacji od lat programowo krytycznej wobec Unii.

Dlatego w czasie czerwcowych wyborów do Parlamentu Europejskiego trójkolorowi mogą powtórzyć wariant tegorocznego paktu senackiego. Wykorzystać doświadczenia z poprzednich wyborów do PE. Znow stworzyć wspólną listę z uzgodnionymi wcześniej kandydatami pewniakami.

Zwłaszcza tymi kompetentnymi, szanowanymi i znanymi. Tak stworzona lista, wzmocniona mobilizacją proeuropejskich wyborców trzech partii, daje olbrzymie szanse na sukces wyborczy podobny do tegorocznego w senacie.

Niestety, w wyborach samorządowych o podobny pakt będzie już trudno. Wtedy wybierając będziemy radnych do sejmików wojewódzkich, rad miejskich, gminnych, dzielnicowych. Na szczeblu samorządowym mniej jest ideologii, polityki wartości, liczy się przede wszystkim polityka korzyści. Ważne są personalne relacje lokalnych elit politycznych, działaczy społecznych, aktywistów. Na szczeblu parlamentarnym łatwiej jest się polubić niż dzierząc władzę lokalną. W samorządach łatwiej, szybciej i dyskretniej można dzielić posiadane budżety. Im mniej ugrupowań decyduje o podziale, tym więcej pozostaje dla własnych wyborców.

Kampania samorządowa wymaga też od formacji politycznej wielkiej mobilizacji członków i sympatyków. Aby zapełnić swymi kandydatami wszystkie listy wyborcze, trzeba mieć w zasobach kilkadziesiąt tysięcy kandydatów. Przynaj-

mniej rozpoznawalnych popularnych liderów każdej z list.

Trzeba mieć wyborców w całym kraju. Ich grona Lewica w czasie ostatnich wyborów parlamentarnych nie powiększyła. Przeciwnie, zanotowała stratę ponad 460 tys. głosów w porównaniu z wyborami z 2019 r., bo miała blisko o 4 pkt proc. mniejsze poparcie. Wstępne wyniki wskazują, że na listy Lewicy zagłosowało 10,1 proc.



PiS-owski dom publiczny

Przez ostatnie osiem lat burdele i ich pracownice były pod szczególną ochroną państwa.



wszystkich kobiet w naszym państwie, 8,3 proc. mieszkańców małych miast, 5,5 proc. emerytów i rencistów, 5,2 proc. wyborców 60+ oraz 5,1 proc. robotników. Pomimo sprawnej kampanii wyborczej okazało się, że oferta Lewicy nie zyskała poparcia dawnego lewicowego elektoratu, nie pozyskała też znacząco nowych wyborców. Tylko 57 proc. wyborców związanych ze starym SLD z roku 2019 oddało w 2023 r. swój głos na listy Lewicy.

Co robić?

Pomimo tych niekorzystnych trendów kierownictwo i działacze Lewicy nie powinni panikować. Winni uodpornić się na medialne dobre rady, aby szybko zmienić swe kierownictwo. Wskazywany na kozła ofiarnego współprzewodniczący Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty powinien zostać przynajmniej do końca trójsemestru wyborczego.

Po wyborach prezydenckich będzie czas na poważne analizy i rozliczanie aktualnego kierownictwa. Nerwowe zmiany personalne mogą przynieść znany z SLD efekt sezonowych przewodniczących. A nawet kolejną doktor Magdalenę Ogórek.

Kierownictwo Lewicy powinno mieć teraz silny mandat, aby wynegocjować maksymalny udział reprezentacji Lewicy we

współkierowaniu sejmem, senatem i rządem. We współrządzeniu państwem.

Będzie miała Lewica z tym współrządzeniem niebawem problem, bo w czasie kampanii wyborczej eksponowała takie wartości jak prawa kobiet: do własnej wizji macierzyństwa, antykoncepcji, aborcji, co może spotkać się od razu ze sprzeciwem koalicyjnej Trzeciej Drogi. Podobnie jak walka o prawa wszelkich mniejszości i działania na rzecz uczynienia z Polski państwa świeckiego. Wszystkie te prawa nie muszą, a czasem wręcz nie mogą być zrealizowane do czasu wyboru nowego prezydenta RP. Ale powinny być stale obecne.

Dlatego przed Lewicą stanie dylemat, jak współrządzić z nielewicą i mimo to udowodnić sprawność swego rządzenia. Jak być skutecznym, a nie tylko współrządzić. Jak zrealizować przynajmniej część swych obietnic wyborczych.

Już teraz, jeszcze przed wyborami samorządowymi, Lewica powinna zaprosić do współpracy działaczy centrolewicowych i przede wszystkim starsze pokolenie polityków SLD. Nie powinna się powtórzyć sytuacja, że starsi wyborcy sympatyzujący z SLD widzą w mediach jedynie premiera Leszka Millera, który namawiał ich do głosowania na KO, a liderów Lewicy – skupiających się na pozyskaniu młodych wyborców. Bez pomocy lewicowej „starówki” młoda Nowa Lewica znaczącego sukcesu w wyborach samorządowych nie odniesie. A jej wynik będzie wizytówką siły Nowej Lewicy na następne trzy lata.

PIOTR GADZINOWSKI

W roku 2015 policja wykryła w Polsce 337 przestępstw związanych z prostytutką. W 2016 r. szefem policji został Jarosław Szymczyk. Po trzech latach jego komenderowania stręczycielstwo, sutererstwo i kuplerstwo spadło do 107 przypadków. W 2015 r. policja wszczęła w tych sprawach 107 postępowań. W roku 2020 – już ledwie 64. Od roku 2021 policja nie publikuje takich statystyk, więc zapewne przestępstw okolo prostytutkinych dziś już prawie nie ma.

Kto nie z policją, ten siedzi

Potwierdzenie tego znajdujemy w medialnych doniesieniach. O ile do 2015 r. co chwila policja chwaliła się nalotem na agencję towarzyską czy zamknięciem alfonsov gangusów, to od kilku lat o takich akcjach można przeczytać średnio raz w roku. A trzeba pamiętać, że policja stara się, żeby w mediach pojawiały się niusy o wszystkich prawdziwych i nieprawdziwych sukcesach tej formacji.

W tym roku o alfonsoch jeszcze nie było. Ale ledwo PKW ogłosiła wyniki wyborów, gruchnęła wiadomość, że w Bydgoszczy CBS rozbiło grupę przestępczą, a także zlikwidowało dwie agencje towarzyskie oraz domówki, gdzie czerpano korzyści z nierządu. Zatrzymano też 14 osób.

Ustalenia śledczych są „porażające”. Sprawdzają się bowiem do ustaleń, że „co najmniej od trzech lat w Bydgoszczy prowadzona była działalność w dwóch agencjach towarzyskich oraz w domówkach. Tak zwani opiekunowie pracujących kobiet otrzymywali część zysków za organizację procederu, przy czym jednocześnie na rzecz grupy przestępczej mogło pracować kilkanaście kobiet”. Śledczy szacują, że „członkowie gangu mogli zarobić około 1,4 mln zł. Uzyskane pieniądze inwestowane były w nieruchomości czy samochody”. Tak chwaliła się policyjna rzeczniczka prasowa.

Dział prasowy Prokuratury Krajowej przekazał, że „od lipca 2020 roku do września 2023 roku członkowie jednej z grup uzyskali z prostitucji korzyść majątkową w kwocie minimum 900 tysięcy złotych, natomiast członkowie drugiej zorganizowanej grupy przestępczej działającej od lipca 2020 do sierpnia 2023 r. – 500 tysięcy złotych”.

Jeśli jeden z gangów zarabiał rocznie średnio 300 tys. zł, drugi zaś ok. 150 tys. zł, to dla ludzi z branży była to jakaś amatorka na poziomie złobka. Potwierdzałyby to fakt, że spośród 14 zatrzymanych gangusów tylko czterech zostało w areszcie. W przypadku pozostałych sąd wyśmiał przyniesione przez prokuraturę dowody i kazał zatrzymanych puścić do domów.

Za czerpanie korzyści z cudzego nierządu kodeks karny przewiduje do trzech lat więzienia. Udział w zorganizowanej grupie przestępczej skutkuje nawet ośmioma latami za kratkami. Jeśli przy takim zagrożeniu karą sędzia nie zgadza się na areszt, to znaczy, że dowody to jakieś kpiny. Najmieszniejsze jednak jest to, że prokuratura dwóm członkom grupy zarzuca pranie pieniędzy, co jest zagrożone karą do 10 lat pozbawienia wolności. Biegli w prawie i przekrętach gangsterzy, którym to przeczytałem, popukali się w czoło, bo ich zdaniem kasa, o której mówili policjanci, była tak mała, że nie było czego przepierać.

Moi rozmówcy dodali też, że cała ta sprawa jest dęta. Ich zdaniem policja załatwiała w niej dwie rzeczy. Po pierwsze ogrywa propagandowo wydumany sukces, ale głównie likwiduje komuś zaprzyjaźnionemu ze służbami konkurencję. Co ludzi zbliżonych do biznesu agencyjno-towarzyskich wcale nie dziwi. Od kilku lat porobiło się w tej branży tak, że burdele są chronione przez mundurowych. A bywa, że i przez polityków.

Dowodów oczywiście nie podają. Każą się jednak przyjrzeć praktyce, pogadać z prostytutkami, a nade wszystko popatrzeć w statystyki. Z nich zaś wynika jednoznacznie, że jeśli w kraju jest kilkanaście tysięcy zorganizowanych agencji towarzyskich, z których problem z policją ma jedna, może dwie rocznie, to nie ma mowy o przypadku.

Wirtualne się opłacają

Potwierdzać ma to sprawa zamknięcia w 2021 r. największego polskiego serwisu z ogłoszeniami dotyczącymi płatnych usług seksualnych Roksa.pl. Policja z prokuraturą zamknęły biznes, wytaczając zarzuty o czerpanie korzyści z cudzego nierządu. Po prostu ogłoszenia prostitutek były płatne. Z tym że były płatne przez kilka dobrych lat. Dlaczego śledczy nie zainteresowali się zjawiskiem, gdy tylko się pojawiło? Jeśli dodamy do tego dziwny fakt, że tuż po zamknięciu Roksy zniknęły lub ograniczyły działalność inne tego typu portale ogłoszeniowe, można dojść do ciekawych wniosków. Ich zdaniem zyskał na tym, że klient nie mógł sobie znaleźć tańszej prywatnej kompanki (względnie kompana) do seksualnych uciech, więc w wielu przypadkach musiał skorzystać z usług agencji towarzyskich? Dodajmy: agencji, które mają swoje strony w internecie i których policja się nie czepia...

Komuś widać zależy, by agencjom nie było tak źle, jak być powinno we współczesnym świecie internetowym. Świecie, w którym mnóstwo ludzi to single. No i singielki. Dzięki komunikatorom takim jak Tinder ich życie seksualne kwitnie. Seks za darmo jest na wyciągnięcie telefonu. Wydawać by się mogło, że każda potwora znajduje amatora.

Darmowy seks z sieci w ciągu ostatnich kilku lat nie wyeliminował płatnego seksu. Uszczuplił jednak tę branżę o jedną trzecią klienteli. Dla wielu osób traceniu czasu na klikanie i ewentualne odrzucenie nie ma sensu. Wolą prostą relację: płace i mam.

Kwalifikacje zawodowe

To dlatego sprzedawaniem cielesnych usług seksualnych zajmuje się w Polsce wciąż ok. 120 tys. osób pici obojga. Dla ok. 30 tys. to zajęcie podstawowe. Reszta sekspracą dorabia sobie po godzinach.

Panie i panowie w wieku od 18 do 25 lat mogą liczyć na średnio 350 zł za godzinę pracy. Z wiekiem zarobki maleją. Ludzie po trzydziestce dostaną jeszcze 250 zł za godzinę karesów. Niestety, dla osób po sześćdziesiątce stawki są nader niewygórowane i trudno wycisnąć więcej niż 120 zł za godzinę. Badania pokazują, że lepiej być szczupłym, bo wtedy zarabia się więcej. Wysocy panowie i panie też dostają 20 proc. więcej niż ich niższe koleżanki i koledzy po fachu.

Faceci świadczący płatne usługi seksualne mają nieco większe pole manewru niż panie. Po pierwsze jest ich czterokrotnie mniej. Po drugie zaś mogą zabawiać zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Lesbijki korzystające z prostitutek są bowiem równie nieczęste jak białko w zdrowym moczu.

Oczywiście swoją niszę na tym rynku znajdują i osoby transpłciowe, głównie transkobiety. Ich stawki zależą od „zrobienia”. Jeśli są po zabiegach adaptacyjnych (np. powiększenia bioder i piersi), to mają szansę wyciągnąć nawet 600 zł za godzinę. Jeśli ich „transpłciowość” sprowadza się tylko do przebrania i peruki, to cieszą się, gdy wytargują za usługę 200 zł.

Wojna w Ukrainie i masowy napływ kobiet stamtąd nie wstrząsnął polskim rynkiem usług seksualnych. Panie zza Buga chcące być call girls skorzystały z przejrzystych granic i są dziś co najmniej za Odrą, jeśli nie za Renem. Jednak obecność uchodźców z Ukrainy wstrząsnęła rynkiem wynajmu mieszkań. To zaś odbiło się na zjawisku seksu za kasę. Polskich studentek nie stać dziś na wynajęcie mieszkania czy nawet pokoju. Akademików niemal nie ma. Są za to właściciele mieszkań, którzy wynajmą kawalerkę lub pokój za 2-4 numery miesięcznie.

W ubiegłym roku wskutek tej sytuacji setki dziewczyn przekroczyły granicę między seksem dla przyjemności a tym dla korzyści. Po przekroczeniu poszły dalej. W tym roku już nie wynajmują mieszkań za seks. Wynajmują za pieniądze, które na seksie zarabiają, gdy tylko nie mają zajęć na uczelni.

PiS-ie, nie odchodź!

Skąd osoby świadczące prywatne usługi seksualne biorą klientów? Oczywiście z internetu. Bo po zamknięciu się jednych portali z ogłoszeniami powstały już nowe. Najczęściej z zagranicy, którym polska prokuratura z gangusami burdelowymi mogą naskoczyć. Portale te nauczyły się jednak, by nie używać wprost sformułowań mówiących, o co chodzi. Piszcie się tam więc pierdoły i używajcie eufemizmów. Niczym w przypadku ośmiu gwiazdek.

Rządzone przez gangi agencje towarzyskie na razie nie wiedzą, co z taką konkurencją zrobić. A przede wszystkim żałują, że PiS odsunął od władzy. Nowe jest bowiem niepewne. A przy partii Kaczyńskiego burdele miały się dobrze. Czajem aż tak, że się rozwinęły, tworząc filie koło nowych koszar i obsługując w soboty i niedziele kilkadziesiąt tysięcy służących w Wojskach Obrony Terytorialnej.

Nie wspominając o wzmożonym zapotrzebowaniu na ich usługi w instytucjach państwowych i spółkach skarbu państwa, które przecież szkoląc nowych menedżerów, kierowników i prezosów z partyjnego nadania, musiały móc wieczorami wydawać wypracowane przez te instytucje pieniądze na szkolenia i wyjazdowe nasiadówki. Znacząco pogłębione analizy rynkowe i inne panele dyskusyjne, do których prowadzenia swoje pracownice oddelegowywały właśnie agencje.

Dla branży seksualnej rządu PiS były przychylne. Co będzie teraz – nie wiadomo. Nikt w kampanii o osobach pracujących seksualnie nawet się nie zająknął. Dlatego z jednej strony burdelarze boją się, że ich biznesy staną się legalne i trzeba będzie płacić podatki, a dziewczynom ubezpieczenia. Z drugiej zaś, że feministki zechcą wprowadzić model szwedzki – karzący nie osoby pracujące seksualnie, lecz klientów – który spowodował, że tamtejsze prostytutki przestały z dnia na dzień mieć kasę na życie, a agencje popłajtowały.

TADEUSZ JASIŃSKI

Pizza pożarta PiS

Pocztówka ze słynnego Jagodna.

– A ty, kurwa, stoisz w tej słynnej kolejce na Jagodnie? – napisałam w noc wyborczą na komunikatorze internetowym do kumpla po fachu, akademika, który akurat od kilku lat mieszka na tym wrocławskim osiedlu, które zasłynęło najdłuższą kolejką do lokalu wyborczego w kraju.

– Oddałem głos rano, czekałem z żoną jakieś pół godziny. To był jakiś ponury dżółk, bo miejsce, gdzie się głosowało, było ciałniutkie, maksymalnie dla trzech osób. Stąd zatory. Kurestwem były schody i brak windy, jedna staruszka, którą przepuściliśmy, ledwo się wczołgała na te kilka stopni. No i jakiś debil ułożył obszary obwodów wyborczych, bo obok była komisja, która, przynajmniej rano, przyjmowała ludzi praktycznie na bieżąco – powiedział kolega profesor.

Postanowiłam zapytać go, co lokalsi mają do powiedzenia o tej sytuacji, niespodziewanym rozgłosie, jak mówi się o tym w kolejce w sklepie czy na przystanku autobusowym.

Pospolite ruszenie

Kiedy podliczono głosy w obwodzie, pisowców ogarnęła czerwona gorączka – zyskali mniej niż Konfederacja i ponad trzy razy mniej niż lewica, która otrzymała ponad 20 proc. głosów. Niewiele mniej uzyskali kandydaci od Hołowni. Zdecydowanie wygrali ludzie Tuska. Gdyby mieszkańcy tego obwodu decydowali o kształcie sejmu, to ludzi Kaczyńskiego i Morawieckiego nie byłoby tam aż 194, lecz nie więcej niż 14...

Obrazy ludzi stojących w zimną noc w kolejce jak za komuny za schabem obiegly cały kraj. Pojawiało się sporo dziennikarzy, włącznie z TVN. Dobrze, że nie sfilmowali, jak ludzie po północy raczą się wódeczką na rozgrzanie, co uwiecznili odpowiednimi fotkami na miejscowym forum internetowym Moje Jagodno. Mieszkańcy okolicznych domów stanęli na wysokości zadania – przynosili ciepłą herbatę w termosach, jakieś kanapki czy przekąski.

Ale bank rozbiła pizzeria Mania Smaku, która przywoziła i rozdała 300 darmowych pizz dla stojących w nawet sześciopółgodzinny ogonku, aby oddać głos. I wtedy, niczym w dziwnym śnie, zaczęła się jazda bez trzymanki, pizzeria (skądinąd nieznajdąca się na Jagodnie) stała się wrogiem publicznym PiS i jego akolitów medialnych, włącznie z telewizyjną łajzą Adrianem Klarenbachem (gdybym była prawaczką, tobym się poważnie zastanawiała, czy to aby nie niemieckie nazwisko, a może nawet żydowskie?). To indywiduum zasugerowało na antenie, że cała akcja była ustawka. Jedno jest jasne: jeżeli ten pan z TVP chce zachować pełen garnitur zębów, nie powinien się raczej na Jagodnie pojawiać.

W tym kraju nawet marketingowo genialny gest – jak dla mnie nie ma większego znaczenia, czy poddyktowany był chęcią zabyśnięcia, długofalowego zyskania rozgłosu i lojalnych klientów, czy autentyczną troską o ludzi – musi zostać upolityczniony, wciągnięty w bieżącą walkę partyjną.

Niemieccy agenci i ruskie onuce

O Manii Smaku usłyszał cały kraj. Wielu miejscowych – a także ludzi z całego kraju, a nawet Polaków mieszkających za granicą – zaczęło dziękować pizzerii, składając zamówienia przez internet, płacąc i zaznaczając, że nie chcą żadnej pizzy. Aż właściciel zamieścił w mediach społecznościowych wpis, że tę kasę przekaże na cel charytatywny, dodając rozsądnie: „Nie róbcie zamówień, bo głupio nam, nie zrobiliśmy nic wielkiego. Prosimy, abyście wysłali tę kasę na fajny cel, na dzieciaki, na potrzebujących. Nam zupełnie wystarczy satysfakcja, że mogliśmy pomóc wspaniałym Polakom”.

Mania Smaku poszła za ciosem i wprowadziła nową pizzę do menu – Jagodność. Ale walec zidiocenia już się rozpędził. Działalność pizzerii była nomen omen nie w smak zwolennikom PiS-u i płaskiej Ziemi, którzy mają to do siebie, że wszystkich mierzą własną miarą. Więc na Fejsie Manii pojawiły się wpisy, w których nazywano ją ruskimi onucami, niemieckimi agentami, oszustami i złodziejami, paranoicznie twierdząc, że ludzie na miejsce zwożono autobusami, a za pizzę płacił niemiecki rząd. Mój ulubiony wpis hejterski to: „Sprzedawczyki i kłamcy manipulacja polowskie śmiecie”.

A przecież wynik głosowania wynikał wprost ze struktury społecznej. Jak wyjaśnia jagodziński profesor: „Znaczna większość mieszkańców sprowadziła się tu w ostatnich kilku latach, to zwykłe ludzie przed 40. rokiem życia, rodziny z małymi dziećmi i single. Klasa średnia, jakieś korpuludki, pracujący w budżetówce. Przekaz pisowski to dla nich jakiś kosmos”.

Wykorzystać swoje pięć minut

Jak mawiała Madonna, nie ma złej sławy, czy piszą dobrze, czy źle, ważne by nazwiska nie przekreślali. No i platformiarskie władze miasta, od lat mające w dupie potrzeby rozrastającego się chyba najszybciej w mieście osiedla, nagle zaczęły grać dobrych wujków, mówiąc, że postawią na Jagodnie krasnala czy krasnale (symbole PR-owe miasta będące nawiązaniem do opozycyjnych dowcipnisiów z czasów komuny, Pomarańczowej Alternatywy, której happenery przebiegali się za krasnale), aby upamiętnić słynną kolejkę.

Większość miejscowych to nieźle wkurwiło. Jeśliby wierzyć włodarzom Wrocławia, to tramwaj na Jagodno – gdzie w godzinach szczytu są nieznosne korki – miał powstać już pięć lat temu. A dopiero teraz zaczął być budowany buspas, który pozwoli gnieźdzącym się w autobusach nieco szybciej dostać się do miasta – do pracy czy do szkoły. Autobusach, które – szczególnie w weekendy – jeżdżą, jak chcą, a częstym obrazkiem jest grupa 30–40 osób czekających na przystanku.

Miejscowi często zastanawiają się, jak to jest, że kilka lat temu w trakcie dużej przebudowy dojazdu z miasta – ul. Buforowej – nie pomyślano o buspasie, i przypuszczają, że jak się coś robi, a niedługo potem robi się od nowa, to ten, kto ma zarobić, zarobi dwa razy... A miasto się wykaże, że działa i troszczy się o ludzi.

Bo wrocławski magistrat chętnie inkasował forszę od deweloperów za grunty, ale miał w dupie choćby postawienie szkoły, przedszkola, parku czy w ogóle infrastruktury, która w normalnych zachodnich miastach jest oczywistą oczywistością. Mieszkańcy czują się wydymani przez władze miasta, których zainteresowanie kończy się na Rynku i okolicach. Kumpeł akademik mówi, że teraz po Jagodnie krąży dowcip, że za kilka lat na Jagodno będzie nie tylko buspas, tramwaj, ale nawet metro.

Nie od dziś wiadomo: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Totalne spierdolenie sprawy przez Państwo – włą Komisję Wyborczą i magistrat plus wkurwienie na rządzących wykreowały prawdziwą legendę i przyczyniły się do wytworzenia miejscowej dumy, lokalnego patriotyzmu.

Jagodno to – miejmy nadzieję, że ostatni – niezamierzony sukces rządów Pinokia Morawieckiego. A zatem, przynajmniej, nawet rządy pisowskie miały też dobre skutki...

K.K.

**ETYKA
BEZBOŻNA**

O wyższości Halloween nad Wszystkimi Świętymi

Kościół katolicki bardzo dba o to, aby swe obcesie i nienawiści owijać w bawełnę hipokryzji i fałszywej troski. Wyraża się to w cedeniu słów pełnych wrogości i pomówień tonem świątobliwej troski i ubolewania. Wszyscy znamy ten wysoki, lekko śpiewny męski głos księdza, udający jagodność, bo gniew może wszak zostać poczytany za słabość lub, co gorsza, wywołać nie mniejszy gniew w reakcji. Są jednak sprawy, przy których katolicka wrogość kipi tonem bezsilnej wściekłości. Należy do nich kwestia Zaduszek, z roku na rok przeistaczającą się w zdecydowanie niechrześcijańskie – a za to z wielkim wigorem odnawiane jak świat długi i szeroki – święto Halloween. Na nic pomstowania biskupów, gromy ciskane z ambon oraz zakazy – młodzi postkatolicy wołają od morza do Tatr: „Cukierek albo psikus!”.

Dla Kościoła, który z najwyższym trudem przejął kontrolę nad tradycyjnym kultem przodków i związaną z tym obrzędowością, to sytuacja skrajnie frustrująca i upokarzająca. Nie dość, że prastary, nie dość, że ludowy, to po prostu plemienny w swej naturze kult przodków trzeba było zachować niemalże w takim kształcie, jaki pamiętały ludy, zanim spadł na nie boży dopust tzw. chryścianizacji. Na dobitkę w wyniku jakiejś diabelskiej rebelii młodzież całego świata z radosnym entuzjazmem na nowo przyswajają sobie dawno już wypięcone (pozornie, jak się okazuje) „pogańskie”

obrzędy! I gdybyż to były jeszcze jakieś słowiańskie diady! Nie, to nordyckie, celtyckie, z wrzącym terytorium protestanckiej schizmy kojarzące się dyniowe a ogniste hece. Czyż nie wystarcza, że zgodziliśmy się na świece i ukwiecanie grobów? Mamy jeszcze ścierpieć dynie i przebieieranki w straszdyła? Nigdy!

Przygnieciona moralnym szantażem ofiary Chrystusa i zmuszona do oddawania czci obcym bóstwom z końca świata ludność tubylcza Europy niewiele zachowała podmiotowości i godności w obliczu nawały chrześcijańskiej. Takim ostatnim szafcem są właśnie obrzędy związane z pamięcią przodków, które nawet Polacy odprawiają po swojemu, jak gdyby obok i równoległe do namolnej katolickiej liturgii i teologii, usiłujących zawłaszczyć ludzką pamięć o zmarłych członkach rodziny i wtopić ją w swoje totalitarne imaginarium.

Kościół posunął się do tego, że rozdzielając Zaduszki na dwa dni, dokonał segregacji zmarłych. Pierwszy dzień poświęcony jest świętym, czyli zbawionym, a drugi całej reszcie zmarłych katolików, to znaczy tym,

co to nie wiadomo jeszcze, jak to z nimi będzie. Paskudne to i nieludzkie. Nic dziwnego, że narody odmówiły udziału w tej niemoralnej zabawie



Rys. OBYWATEL JANEK

w lepszych i gorszych zmarłych. Polacy żądnymi „wszystkimi świętymi” się nie interesują, a dwudniowe święta zaduszne obchodzą jednolicie, mało się pokazując w kościołach, a za to dużo na cmentarzach.

I do tego jeszcze te dynie! Są tak rebelianckie i tak wyzywające wobec Kościoła, że warto się zastanowić, jaka jest ich wymowa. Co się kryje za obrzędami kojarzącymi śmierć z niesamowitością? Wbrew pozorom mają one głębokie podłoże emocjonalne i moralne. Wyraża się w nich naturalny lęk przed śmiercią i potrzeba jej oswajania. A także jakaś mglista nadzieja przetrwania śmierci ciała i obawa, czy naprawdę się tego chce. To są myśli i lęki uniwersalne, których nie uśmierzy katolicka legenda o ciał zmarłych wstąpieniu i świętych obcowaniu.

Zresztą katolicy również mają kłopot ze zmarłymi oczekującymi w grobach na sąd ostateczny. Do sądu owego daleko, a trupy w grobach leżą. A gdzie niby czekają te duszyczki, czhające na powrót do swych cudownie odnowionych ciał? W niebie? I co, jak będzie trzeba, to zlecą z tego nieba na powrót na cmentarze, gdy wezwie je do tego Pan Jezus, przybyły „sądzić żywych i umarłych”? A dobrze im tam w niebie bez ciał? Jeśli dobrze, to po co im ciała? A jeśli źle, to co to za niebo?

Bynajmniej nie jest tak, że katolicyzm wprowadza porządek w rozedrganą i niespokojną wyobraźnię człowieka

Szacunki mówią, że w tym roku 50 tys. Polek udało się w świat wyłącznie w poszukiwaniu seksu.

Biura turystyczne zauważyły, że jesień jest porą, kiedy Polki odlatują na Południe. Wcale nie po to, żeby dawać w szyję, ale brać – w zupełnie inne części ciała. Popyt rodzi podaż, więc gdy się wejdzie do internetu, widać wysyp ogłoszeń touroperatorów oferujących „Urlop dla kobiet” czy „Podróż z myślą o paniach” albo „Wakacje, po których wrócisz odmieniona”. Strony wabią tekstem: „Jesteś kobietą i chcesz odkryć najlepsze tunezyjskie SPA – sama, z przyjaciółkami lub w grupie podobnych do ciebie pań? A może jesteś singielką i masz dosyć kurortów pełnych rodzin z hałaśliwymi dziećmi? Pragniesz poznać ciekawe miejsca, przeżyć niezwykle przygody, doskonale się bawić, a przy tym być może poznać kogoś bliskiego twojemu sercu? By sprostać wciąż zmieniającym się wymaganiom i nowym trendom”. I to działa. Z roku na rok liczba samotnie urlopujących się za granicą Polek rośnie.

Polka Polce wilczyca

Na świecie od dawna bada się wszystko, co ma związek z turystyką. Branża ma kasę i chce wiedzieć. Dzięki temu touroperatorzy są świadomi, że z każdych 100 kobiet, które samotnie wyruszają na urlop, 85 będzie miało na nim romans. Tylko jedna piąta takich relacji nawiązuje się między urlopowiczką a kimś też przebywającym na wakacjach. Zdecydowaną większość turystycznego seksu zapewniają mili młodzi tubylcy.

W necie hulają grupy, gdzie kobiety mające swoje lewe profile wymieniają się doświadczeniami wakacyjnymi. Wyczyta się tam wszystko, co dziewczyna powinna wiedzieć. Szczególnie gdy jest mężatką.

Najważniejsze jest bezpieczeństwo. Mężowie mają bowiem to do siebie, że nie lubią, gdy ich żony osiągają satysfakcję seksualną bez ich udziału. Mężatka nie może zatem powiedzieć, że leci na seks-urlop. Mężatka ma lecieć na coś kobiecego, czyli z taką nazwą, której facet nie zrozumie. A nawet jak zrozumie, to nie zaproponuje, że z żoną tam poeci. Najlepsze są więc warsztaty florystyczne w Kenii czy na Zanzibarze, pobyt w ośrodku medytacji na Dominikanie czy zajęcia z jogi na Mauritiusie. Żeby jednak mieć stuprocentową pewność, że chłop zostanie w domu, warto tak pokombino-

skonfrontowanego ze śmiercią i śmiertelnością. Tylko udaje. I ludzie to widzą. Za to ludyczne, czyli pełne zabawy, obrzędy są szczerze i niczego udawać nie chcą.

Zamiast wymuszonej pogody ducha dochodzą w nich do głosu lęk przed śmiercią, odraza do martwego ciała, obawa, że pomiędzy życiem a śmiercią jest jakiś budzący grozę stan pośredni, na wpół cielesny i upiorny. Katolicyzm tłamsi i wypiera te emocje, lecz nie jest w stanie ich zniweczyć.

Halloween jest bardziej ludzkie i szczerze niż wydumane katolickie pseudoświęta zaduszne. I ta emocjonalna szczerota oraz jej ludyczne opracowanie w rozmaitych obyczajach i zabawach, w tych wszystkich przebiegankach, makabreskach i pochodach stawiają to święto na wyższej płaszczyźnie moralnej w porównaniu z owym monotonnym katolickim cierpiętnictwem, nieszczerze przełamanym pełnym hipokryzji, omdlewającym półśmieszkiem. Stuszenie boi się Kościoła halloweenowych przebiegaczy! Szczerzą oni swe dyniowe zęby przeciwko hipokryzji upadającego i beznadziejnego Kościoła, śmiejąc się tym serdeczniej, im głośniejszemu dogorywającemu Lewiatan ryczy w swej beznadziejności. Śmiechem nienawiść pokonamy! Cukierek albo psikus!

JAN HARTMAN

Szczytowanie pod palmami

wać wcześniej z jego urlopem, żeby go już nie miał na okres żoninego wypadu.

Po oznajmieniu ślubnemu, że się wyjeżdża – szczególnie za pierwszym razem – pojawia się z jego strony pytanie z kim. Chłop nie musi znać wszystkich koleżanek żony, więc trzeba jakąś wymyślić. Z prawdziwą koleżanką mężatka lepiej niech nie wyjeżdża. Podboje seksturystyczne mężatek winny być jak zabójstwo – nie mieć świadków. Bo co z tego, że dziś koleżanka jest najlepszą przyjaciółką? Jutro może porobić się tak, że zacznie szantażować. Wymyślona koleżanka jest niezbędna szczególnie dla pań z mniejszą kasą, tych udających

rystka widać zmieniała zdanie, bo co dzień wchodziła do swojego lokum bądź wychodziła z niego obejmowana przez kolejnych młodszych o dekadę śniadych przystojniaków.

Z muzułmaninem nie grzech

Singielka też wrzuca na luz seksualny, ale przynajmniej nie musi się z tym kryć. Dlatego jesienne wyprawy pełne są czterdziestokilkuletnich i starszych rozwódek. Trzydziestki są rodzinami, ale to one zgarniają na miejscu śmietankę. Szczególnie w krajach muzułmańskich.

że ich wyjazd będzie miał niewinny charakter. To się zmieniało dopiero po przylocie. Ich egipscy kochankowie czarowali je nie tylko seksem. Kobiety były przez nich adorowane, ceniły sobie przede wszystkim zainteresowanie swoją osobą, a potrzeby seksualne, choć też zaspokajane, były w wielu przypadkach drugorzędne.

Od tamtej pory wiele się jednak zmieniło. Dziś kobiety wybierają się do seksdestynacji z pełną premedytacją, ale wciąż oczekują bycia uwodzonymi.

Komplement w cenie butów

Młodzi facci z Kenii, Egiptu czy Dominikany dobrze wiedzą, jak wyjść naprzeciw oczekiwaniom tych kobiet. Znajomość zaczyna się od wspólnej wycieczki na romantyczną plażę. Potem opalają się razem, jedzą mango, rozmawiają, nie ukrywając zachwyty.

Według bywalczyń sekswyjazdów ci młodzi panowie potrafią lepiej zadbać o kobietę niż mężczyźni, z którymi mają do czynienia w swoim kraju – mężowie, partnerzy czy nawet jednorazowi kochankowie.

Przyroda jednak ma to do siebie, że za wszystko się płaci. W tym przypadku też, ale inaczej, a na dodatek nie przed, ale po. A i to nie wprost. Jedni przystojniacy wciskają łzawą historię o biednej rodzinie czy chorej siostrze, wymagającej wsparcia.



Islam ma to do siebie, że seks pozamałżeński uważa za grzech. Z tym, że seks z niemuzułmanką to nie seks, więc się nie liczy. Ponieważ zaślad Koranu przestrzega się w islamie dość mocno, to wielu tamtejszych facetów tylko czeka na turystki. Są gotowi na seks w każdej formie, i to darmo.

Pod jednym wszakże warunkiem – że kobieta im się spodoba. Trzydziestki się podobają, więc mają branie. I to absolutnie darmowo. Na niezapłacone łapkę się też panie, które choć starsze, są w typie turystycznych podrywaczy. W tych układach wszyscy są zadowoleni, bo robią to, co chcieli, i mniej więcej z tym, z kim chcieli.

Kilka lat temu przeprowadzono badania dotyczące seksturystyki Polek jeżdżących do Egiptu. Często były to znudzone życiem mężatki. Mocno starsze od miejscowych, z którymi się spotykały. Większość z tych kobiet początkowo zakładała,

Inni przyjmują prezenty, idą na zakupy, za które panie płacą. Dzięki temu kobiety, kupując buty kochankowi, nie traktują tego jak sponsoringu. Fundują mu, bo jest uboższy. Często młodzieńcy ściągają tylko na jeden numererek nie chcą pieniędzy do ręki, proszą, żeby zostawić je na stoliku. Tacy są delikatni i dyskretni.

Niektórzy z tych mężczyzn kombinują, że znajomość z Europejką zaowocuje jakąś podróżą, załatwieniem pracy. W najgłupszej wersji czasami po wakacjach urlopowi kochankowie zostają znajomymi na Facebooku. Co dla pań mających polskich facetów może być nefajne. Bo co powiedzieć chłopu, gdy pod każdym wpisem na Fejsie nagle pojawia się kilkanaście lajków od Hasanów i Abdulów?

Niektórym śniadym kochankom udaje się zrealizować marzenie o zaproszeniu do Europy. Gadałem z takim Tunezyjczykiem. O romansie i krótkim małżeństwie z panią, która go ściągnęła, nie chciał mówić, ale o tym, jak przez kilka lat był chłopcem Europejki – jak najbardziej. I do dziś nie może wyjść z podziwu – szczególnie do Polek – ile stron pornograficznych musiały poprzeglądać, żeby domagać się od niego takich ekwilibrystycznych form najostrzejszych seksualnych karesów. I to na dodatek w układach z panią i innymi śniadymi panami. Regułą było, że im starsza i mniej wyglądna jeźmość, tym zakres seksualnych powinności kochanka rósł. Jednak najciekawsze Tunezyjczyk zostawił na koniec. O ile u siebie nie miał problemów z podrywaniem Polek, o tyle w Polsce jego śniadość nie tylko nie działa, ale wręcz przeciwnie. W związku z czym facet zastanawia się, czy dla wszystkich Polek fajne życie seksualne zaczyna się dopiero, gdy przekroczy polską granicę.

TADEUSZ JASIŃSKI

Alleluja, Europo!

JP2 patronem wojen kulturowych.

Dokładnie 20 lat temu Wojtyła ogłosił światu posynodalną adhortację apostolską „Ecclesia in Europa”, która podsumowała dwa biskupie spedy zwane synodami. I była głosem watykańskim w sprawie rozszerzenia od 2004 r. Unii Europejskiej o 100 mln mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej.

W tym dokumencie polski papież jawi się jako miłośnik wojen kulturowych, nie wahający się użyć Ewangelii jako pałki do okładania wszystkich, którzy go nie słuchają. Jest przy tym całkowicie zafiksowany na punkcie swych poglądów, uznając, że odmienne racje nie tylko są błędne, ale w gruncie rzeczy niemoralne i całkowicie nieuprawnione.

Niby wzywa do dialogu, ale ma się on toczyć wyłącznie na jego warunkach, a po prawdzie nie ma tak naprawdę większego sensu, bo koniec końców wszyscy mają przyjąć jego poglądy albo stulić gęby.

Dwie Europy

Tomasz Głuszak na łamach „Teologii Praktycznej” podkreśla, iż na naszych oczach uważny obserwator może zauważyć podział na dwie różne Europy, co wyjaśnia w nieznośnie długim, ale pouczającym zdaniu: „Jedna to Europa najnowszych zdobyczy techniki, dobrobytu materialnego, pokoju oraz pewnej stabilizacji politycznej i społecznej, a zarazem Europa zsekularyzowana, odznaczająca się nihilizmem, nieograniczonym konsumizmem, której obywatele doświadczają znudzenia i duchowej pustki; druga to Europa krajów nadrabiających zaległości

w rozwoju; Europa ludzi ubogich często na skutek bezrobocia, dysproporcji płac czy emerytur; Europa, w której są obecne środowiska ludzi bogatych lub nowobogackich, ceniących często sukces jako absolutnie najwyższe dobro i wartość, pomijając zarazem wartości duchowe”.

Wedle Wojtyły głównym problemem Starego Kontynentu jest gaśnięcie nadziei – żyjemy bowiem w okresie zagubienia. Zagrożona jest kultura euroatlantycka, oparta na starożytniej myśli greckiej, prawie rzymskim oraz chrześcijaństwie i judaizmem. Papa białda, że „jesteśmy świadkami narodzin nowej kultury [...], której cechy charakterystyczne i treści często sprzeczne są z Ewangelią i z godnością osoby ludzkiej”.

Co jest złego we współczesnej kulturze? Katalog papieskich zarzutów jest bardzo, bardzo długi. Obejmuje utratę dziedzictwa chrześcijańskiego, laicyzację, spadek liczby urodzeń, zanik solidarności międzyludzkiej, utratę wiary w zbawienie w zaświatach. W skrócie: coraz częściej owieczki porzucają wiarę i taplają się w grzechu, żyją tu i teraz, a wizja raj u nie-szczególnie je kusi.

Wróg oświecenia

Opowieść papieska, jak przystało na re-akcjonistę, źródło wszelkiego zła upatruje w nowoczesności, a konkretnie w oświeceniu, racjonalizmie i humanizmie. Podli XVIII-wieczni myśliciele mieli odrzucić nadprzyrodzony wymiar chrześcijaństwa, zachowując jednocześnie wartości jakoby odkryte i wniesione przez nie do kultury europejskiej.

Gwoli ścisłości rację ma pobożny brytyjski marksista Terry Eagleton, kiedy zauważa, że język oświecenia został zawłaszczony przez chciwe potężne korporacje, państwo policyjne i inwigilujące oraz skompromitowaną politycznie naukę. A propos tej ostatniej: właśnie wrocławscy naukowcy wynaleźli test krwi, który wykrywa przeprowadzenie aborcji farmakologicznej, co – nie tylko dla mnie, jak wi- dać po komentarzach internetowych – jest symbolem skurwienia nauki i zaprzęgnięcia jej do obrzydliwych celów policyjnych.

Jak pisze Eagleton, „oświecone zaufanie do beznamiętnego rozumu zdegenerowało się i oznacza teraz jedynie najmowanie badaczy i ekspertów do rozpowszechniania

propagandy państwowej i korporacyjnej. Wolność ekspresji kulturowej osiąga kulminację w taniej ideologicznej retoryce i politycznie sterowanych wiadomościach mass mediów kierujących się zyskiem”.

Demony postmodernizmu

JP2 pisze o tzw. nowej kulturze, czyli postmodernizmie prowadzącym do zaniku wiary chrześcijańskiej i wyłonienia się świata pochrześcijańskiego. Dochodzi zatem do niepokojącej z punktu widzenia papieża sytuacji, w której ateizm jest czymś oczywistym, a to wiara wymaga uzasadnienia i społecznej legitymizacji.

Jak zaznacza Głuszak, ta nowa neopogańska kultura „pogaństwa gloryfikuje coraz powszechniej dewiacje moralne, kult siły, władzę, pieniądze. Kościół z Dobrą Nowiną o zbawieniu, a wraz z nim chrześcijaństwo zostaje spychane w społeczeństwie ponowoczesnym na margines życia społecznego, co skutecznie osłabia inspirujący wpływ Ewangelii na kształt życia publicznego i kulturę obywatelską”.

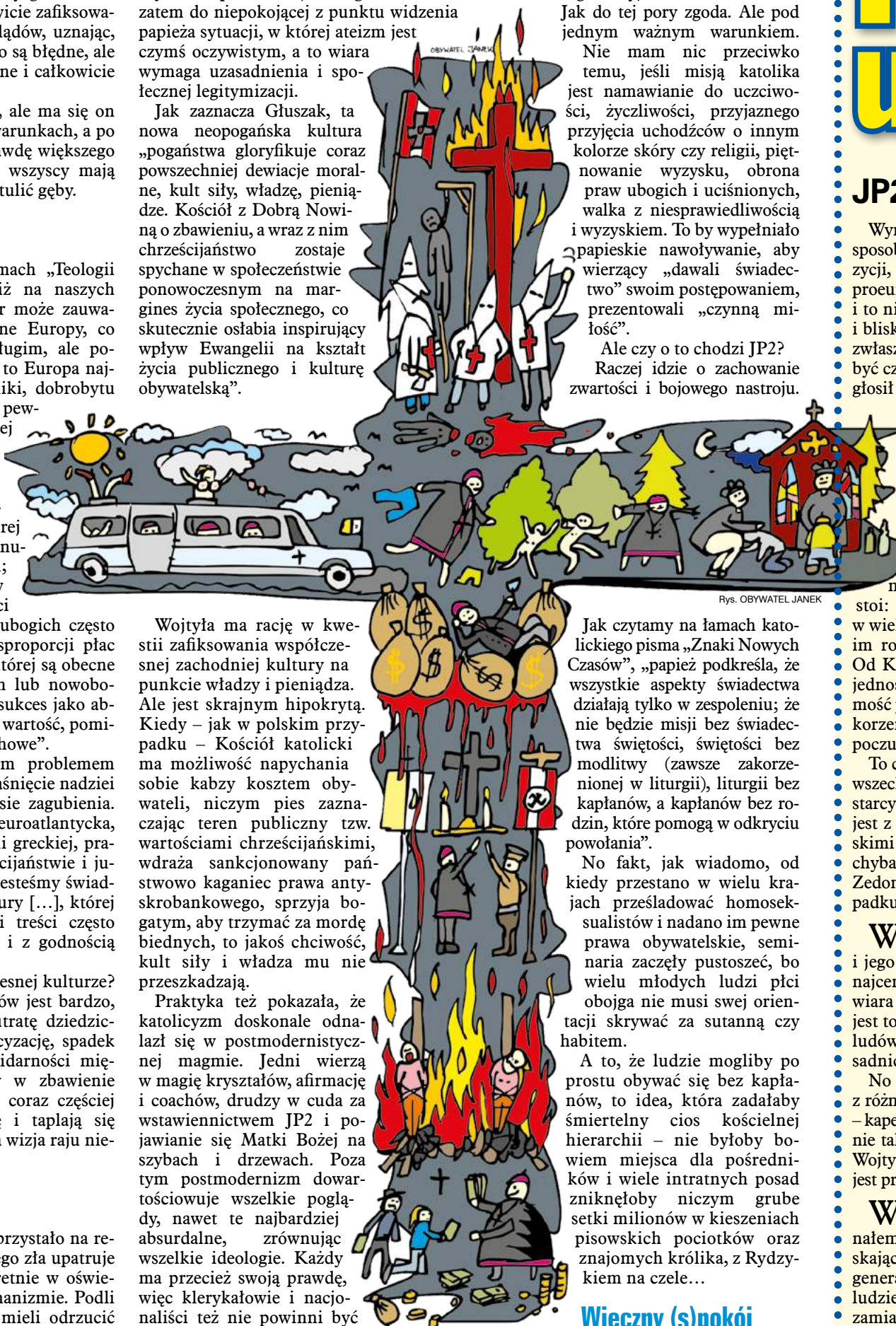
ży uprawiać z zapałem, zwłaszcza że jest ona teraz bardziej potrzebna niż kiedykolwiek: „Dziś bardziej niż kiedykolwiek konieczne jest, aby każdy chrześcijanin miał świadomość misyjną [...] każdy ochrzczony, jako świadek Chrystusa, winien zdobyć formację odpowiednią do swego stanu, nie tylko dlatego, by uchronić wiarę przed oziębieniem z braku troski w nieprzychylnym środowisku, jakim jest świat, ale również po to, by wesprzeć i pobudzić ewangelizacyjne świadectwo”.

Jak do tej pory zgoda. Ale pod jednym ważnym warunkiem.

Nie mam nic przeciwko temu, jeśli misją katolika jest namawianie do uczciwości, życzliwości, przyjaznego przyjęcia uchodźców o innym kolorze skóry czy religii, piętnowanie wyzysku, obrona praw ubogich i uciskanych, walka z niesprawiedliwością i wyzyskiem. To by wypełniało papieskie nawoływanie, aby wierzący „dawali świadectwo” swoim postępowaniem, prezentowali „czynną miłość”.

Ale czy o to chodzi JP2?

Raczej idzie o zachowanie zwartości i bojowego nastroju.



Rys. OBYWATEL JANEK

Jak czytamy na łamach katolickiego pisma „Znaki Nowych Czasów”, „papież podkreśla, że wszystkie aspekty świadectwa działają tylko w zespole; że nie będzie misji bez świadectwa świętości, świętości bez modlitwy (zawsze zakorzenionej w liturgii), liturgii bez kapłanów, a kapłanów bez rodzin, które pomogą w odkryciu powołania”.

No fakt, jak wiadomo, od kiedy przestano w wielu krajach prześladować homoseksualistów i nadano im pewne prawa obywatelskie, seminaria zaczęły pustoszeć, bo wielu młodych ludzi płci obojga nie musi swej orientacji skrywać za sutanną czy habitem.

A to, że ludzie mogliby po prostu obywać się bez kapłanów, to idea, która zadałaby śmiertelny cios kościelnej hierarchii – nie byłoby bowiem miejsca dla pośredników i wiele intratnych posad zniknęłoby w kieszeniach pisowskich pociotków oraz znajomych królika, z Rydzikiem na czele...

Wieczny (s)pokój

Jeśli mnie pytacie, to jakoś nie jestem szczególnie przeciwna dociekaniom, czy jest życie po życiu, wieczność etc. Niestety, wizje nieba są nudne, a co do piekła, to tylko zastanawiam się, czy jest ono odpowiednio do norm unijnych zmierzniowane, a kotły ze smołą, w których smażą się potępieni, opalane są ekologicznym paliwem.

Ale chciałabym, aby katolicy, z którymi na co dzień, chcąc nie chcąc, się stykam, nie wypychali mi do gardła swoich przekonań, tak jak ja im swoich nie narzucam. I nigdy więcej nie wykorzystywali instytucji państwowych (które mają służyć wszystkim ludziom) do propagandy swych zwyczajów, bo może inni mają ciut odmienne gusta...

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Kościół unijny

JP2 protoplastą zjednoczenia.

Wyniki ostatnich wyborów rozpatrywano na wiele różnych sposobów. Jedną z przyczyn zwycięstwa demokratycznej opozycji, w dość zgodnej opinii komentatorów, była jej orientacja proeuropejska. Polacy dobrze czują się w Unii Europejskiej, i to nie tylko ci, którzy spierdolił z kraju, aby zapewnić sobie i bliskim lepszy byt w Niemczech czy we Włoszech. Wyborcy, zwłaszcza młodzi i w średnim wieku, wiedzą, że nasz kraj może być częścią Zachodu albo dryfować w kierunku Moskwy. A jak głosił kiedyś skecz Kabaretu Moralnego Niepokoju, obecnie zdjętego z anteny przez Polsat: im dalej na wschód, tym większy smród.

Warto zatem zwrócić uwagę, co tak kochany przez prounijnych Hołownię, Tuska czy Kosiniaka-Kamysza Jan Paweł II mówił o Starym Kontynencie, zwłaszcza roli Kościoła w nim.

Wojtyła nie waha się w adhortacji „Ecclesia in Europa” sięgnąć po brawurowe argumenty, porównując poszerzającą się UE do instytucji, na czele której stoi: „Kościół katolicki – jeden i powszechny, choć obecny w wielości Kościołów lokalnych – może wnieść jedyny w swoim rodzaju wkład w budowanie Europy otwartej na świat. Od Kościoła katolickiego bowiem pochodzi wzorzec istotnej jedności w różnorodności kulturowych form wyrazu, świadomość przynależności do wspólnoty uniwersalnej, która jest zakorzeniona, ale nie wyczerpuje się we wspólnotach lokalnych, poczucie tego, co jednoczy ponad tym, co różni”.

To ciekawe, że teokracja, w której nie odbywają się żadne powszechne wybory – decydujący głos mają przewielebni męscy starcy – ma być dla kogokolwiek wzorem. A nie, dość podobnie jest z wierzącymi w technologię w służbie zamordyzmu chińskimi członkami wierchuszki Komunistycznej Partii Chin. Ale chyba nawet władza liderów chińskich, przynajmniej po Mao Zedongu, była bardziej ograniczona od papieskiej, choć w przypadku Xi Jinpinga już nie byłabym tego taka pewna...

W adhortacji JP2 sugeruje, aby skorzystać z usług jego i jego przybocznych: „Kościół ma do zaoferowania Europie najcenniejsze dobro, jakiego nikt inny nie może jej dać: jest to wiara w Jezusa Chrystusa, źródło nadziei, która nie zawodzi; jest to dar leżący u początków jedności duchowej i kulturowej ludów Europy, który dzisiaj i w przyszłości stanowić może zasadniczy wkład w ich rozwój i integrację”.

No i jasne jest, że Kościół, jakże chętnie zagrzewający ludzi z różnych państw europejskich do wzajemnego mordowania się – kapelani wojskowi zawsze wiedzieli, kto im płaci żołd! – jeszcze nie tak dawno, w czasie I wojny światowej (o wspieraniu przez Wojtyłę chorwackiego nacjonalizmu nie wspomnę), na pewno jest predestynowany do mówienia innym, jak żyć i co robić.

Wojtyła dodaje też skromnie: „Kościół zaś jest jakby kanałem przenoszącym i rozprzestrzeniającym falę łaski, try-skającej z przebitego Serca Odkupiciela”. I to by się zgadzało, generalnie Kościół to niezły kanał, w który wpadają zwykłe ludzie od dziecka wychowywani na katolikach. Jakkolwiek zamiast łaski wielu ludzi prędzej może się spodziewać od klechów propozycji zrobienia łaski.

Komentując słowa papieża, Dariusz Adamczyk w książce „Ku pełni miłości: społeczno-religijne przesłanie adhortacji apostolskich Jana Pawła II” przeprowadza wywód, jakkolwiek absurdalny, to przynajmniej dość zabawny: „Wiara w Tróję Przenajświętszą jest źródłem autentycznej nadziei dla Europejczy. Posiada bowiem w sobie potencjał duchowy, kulturowy i etyczny, umożliwiający zrozumienie poważnych kwestii dręczących współczesnych ludzi, jak brak poczucia sensu życia i historii czy rozpad społeczeństwa”.

JP2 smaga biczem Europejczyków – za zmniejszenie dzieci-ności, spadek liczby nowych księży i osób zakonnych oraz rozwody. Najmieszniejsze, że poważne badania naukowe pokazują – tak jest choćby w przypadku Francji, zwanej najstarszą córką Kościoła – iż ponowne małżeństwa przyczyniają się do zwiększenia liczby urodzeń, wchodzący bowiem w nowe poważne relacje chcą poprzez wspólne dziecko czy dzieci sementować swój nowy związek. A w Polsce za rządów pobożnych katotalibów z PiS dzieciństwo sięgnęła dna i zaprawa mułu.

K.K.

WIARA CZYNI CZUBA

1. W Machaczkałe, stolicy należącego do Federacji Rosyjskiej Dagestanu, rozwścieczony tłum wtargnął na lotnisko w poszukiwaniu pasażerów lotu z Izraela. 20 osób zostało rannych. W Chasawiurcie tłum zaatakował hotel, szukając po pokojach „żydowskich uchodźców”, a w Nalczyku, stolicy Republiki Kabardyjsko-Balkarskiej, nieznan sprawcy podpalił budowane właśnie centrum żydowskie. Zarówno Dagestan, jak i Kabardo-Balkaria są republikami z dominującą religią muzułmańską. Uczestnicy (nieudanych na szczęście) pogromów zostali zwolnieni przez Telegram, żeby ukarać wszystkich możliwych Żydów za czystkę etniczną prowadzoną przez izraelski rząd w Strefie Gazy w ramach odwetu za terrorystyczny atak Hamasu z 7 października. Religie: droga do pokoju i przyjaźni między narodami.

2. Po trzech nieudanych próbach Partia Republikańska wreszcie wybrała marszałka Kongresu, zwanego tam spikerem: Mike’a Johnsona z Luizjany. Zapytany, jakie poglądy ma trzecia osoba w USA, Johnson odpowiedział: „Jestem chrześcijaninem wierzącym w Biblię. Jak ktoś pyta, co Mike Johnson myśli na ten czy inny temat, odpowiadam: »Weź z półki Biblię i przeczytaj ją – to jest mój światopogląd. W to właśnie wierzę i nie mam zamiaru za to przeproszać«”. Jako prawnik Johnson pracował dla stowarzyszenia Alians Obrony Wolności, które pragnie przywrócić karalność aktów homoseksualnych, opowiada się za przymusową sterylizacją osób transseksualnych, naucza, że osoby LGBTQ+ są bardziej skłonne do pedofilii, i przekonuje, że „homoseksualna agenda” chce zniszczyć chrześcijaństwo i społeczeństwo. Odpieprzcie się od Kuchcińskiego.

3. Ukraińska Rada Najwyższa przegłosowała ustawę delegalizującą Ukraiński Kościół Prawosławny. W fascynującym remake’u „Żywota Briana” ukraińscy posłowie uznali, że jedyną legalną Cerkwią w kraju ma być od tego momentu Kościół Prawosławny Ukrainy. UKP przekonuje, że zerwał wszelkie kontakty z patriarchatem moskiewskim w maju 2022 r., ale specjalna rządowa komisja ma inne zdanie. Jeden z najwyższych hierarchów UKP, przełożony ławry Peczerskiej metropolita Paweł, trafił do aresztu, skąd wyszedł za kaucją 33 mln hrywien (3,5 mln zł) zebraną przez wiernych. Akt oskarżenia trafił właśnie do sądu. Duchownemu grozi osiem lat więzienia i konfiskata mienia. Jest oskarżony z art. 161.2 kodeksu karnego: „naruszenie równości obywateli na podstawie ich przekonań religijnych”. Władzom Ukrainy ironia wyraźnie umyka.

4. Niezależna komisja ds. księżej pedofilii, powołana w marcu 2022 r. przez kortezę (parlament Hiszpanii) pod kierownictwem Angela Gabilondo, który jest obrońcą ludu, czyli hiszpańskim rzecznikiem praw obywatelskich, ogłosiła właśnie wyniki swoich prac. Raport ma 800 stron, obejmuje 487 konkretnych przypadków, ale zawiera także sondaż przeprowadzony przez renomowany hiszpański ośrodek badań społecznych GAD3 na losowej próbie 8 tys. obywateli. Wynika z niego, że 1,13 proc. mieszkańców Hiszpanii miało doświadczenia molestowania związane z personelem Kościoła kat., w tym 0,6 proc. ankietowanych dostało się w łapy księży, a reszta – świeckich katoli, na przykład nauczycieli w katolickich szkołach. W sumie raport ocenia, że ofiarami kleru mogło być 200 tys. świeckich funkcjonariuszy papizmu – drugie tyle.

5. Sąd komisarzy hrabstwa Lubbock w stanie Teksas przegłosował zakaz podróży aborcyjnych. Zgodnie z decyzją organu zarządzającego hrabstwem, składającego się z sędziego i czterech komisarzy wybranych w powszechnych wyborach, w liczącym 300 tys. mieszkańców Lubbock nielegalny staje się „świadomy transport osoby w celu zapewnienia lub uzyskania aborcji, niezależnie od tego, gdzie aborcja nastąpi”. Zakaz transportu ma zastosowanie, „jeżeli transport takiej osoby rozpoczyna się, kończy lub przechodzi przez obszar hrabstwa Lubbock”. Zabrania się ponadto „świadomego pomagania” każdemu, kto chce przemieścić się w celu przerwania ciąży, w tym „oferowania, dostarczania lub pożyczania pieniędzy, waluty cyfrowej lub innych zasobów” na rzecz podróży. Lubbock z dumą ogłasza się „hrabstwem sanktuarium dla nienarodzonych”.

Postpostkomuniści

Kłopoty niemieckiej lewicy.

Die Linke – moja ulubiona lewicowa formacja w Europie – właśnie się rozpadła. Towarzysze pożarli się o Rosję i wojnę na Ukrainie, co w sumie było do przewidzenia, ale i tak jest to smutna wiadomość.

Gasnąca gwiazda

Die Linke to partia powstała z połączenia PDS, czyli niemieckich postkomunistów (takiego enerdownskiego SdRP), i organizacji o przydługiej nazwie Alternatywa Wyborcza Praca i Sprawiedliwość Społeczna (WASG), która składała się z byłych działaczy SDP, czyli zachodniemieckiej socjaldemokracji, a także związkowców rozczarowanych neoliberalną polityką Gerharda Schrödera. Radykalnie lewicowa, antykapitalistyczna, niechętna NATO i sceptyczna wobec UE formacja wystartowała z prztyupem, zdobywając miejsca w parlamentach wielu landów – zwłaszcza w byłym NRD – a także w Bundestagu i Parlamencie Europejskim, przekształcając dość spetryfikowaną niemiecką scenę polityczną w system pięciopartyjny i stając się największą siłą opozycji w latach 2013–2017.

Ostatnie wybory do Bundestagu w 2021 r. pokazały jednak, że siła Die Linke słabnie: partia uzyskała 4,9 proc. głosów, czyli nie przekroczyła progu wyborczego. Dostała się do parlamentu tylko dzięki złożonej niemieckiej ordynacji: zdobyła bowiem trzy mandaty w okręgach jednomandatowych, a to z kolei zwolniło ją z konieczności przekroczenia progu. Dziś Die Linke ma 38 posłów: o jednego więcej niż wymagany dla frakcji parlamentarnej odsetek 5 proc. członków Bundestagu, który liczy obecnie 736 miejsc. Odejsie 10 posłów, ogłoszone w ostatni poniedziałek, oznacza dla Die Linke koniec statusu frakcji parlamentarnej, co odbije się na jej pozycji w parlamencie, możliwości składania wniosków, zatrudniania pracowników etc. Na razie rozłamowcy deklarują pozostanie we frakcji – głównie ze względu na dobro ponad setki zatrudnianych przez nią pracowników – ale tylko do stycznia, kiedy nowa partia zostanie formalnie utworzona.

Wschodząca gwiazda

Na czele grupy rozłamowców stoi Sahra Wagenknecht, postać kontrowersyjna, acz wysoce popularna, uznawana dość zgodnie za gwiazdę radykalnej lewicy w Niemczech. Wagenknecht ma 54 lata, pochodzi z NRD, należała do SED (czyli enerdownskiej PZPR), pisała pracę mądrą z filozofii Marksa (choć doktorat ma z ekonomii), za młodu zdarzyło jej się wyrażać pozytywną opinię o stalinizmie, od której się później zdystansowała. Jest też żoną legendy SPD, Oskara Lafontaine’a, skądinąd starszego od niej o 26 lat (co naturalnie budzi moją sympatię). Wagenknecht jest kobietą o niepospolitej charyzmie i egzotycznej urodzie, którą odziedziczyła po ojcu Irańczyku, często występuje w telewizji i pisuje bardzo głośne książki społeczno-polityczne. Najnowsza, „Die Selbstgerechten” – to trudny do przetłumaczenia termin, który określa osoby przypisujące sobie wyższość moralną – była atakiem na lewicowych liberałów, których oskarżała o popieranie społecznego porządku opartego na wyzysku ludzi pracy przez klasę panującą. Książka trafiła na pierwsze miejsce listy bestsellerów „Der Spiegel”.

Wagenknecht była współprzewodniczącą klubu parlamentarnego Die Linke w poprzedniej kadencji, ale nagle zrezygnowała ze stanowiska. W długim wywiadzie w kobiecej prasie wytłumaczyła swoje odejście „wypaleniem zawodowym”, opowiadając ze szczegółami, jak była osłabiona i nieszczęśliwa i dwa miesiące spędziła na zwolnieniu w łóżku. Jeśli jednak liderzy Die Linke sądzili, że mają Sahrę z głowy, to pomylili się boleśnie. Nawet bez formalnej pozycji w partii pozostawała jedną z jej najbardziej znanych postaci, występując na spotkaniach autorskich, prowadząc własny kanał na YouTube, nawiedzając niezliczone programy telewizyjne.

Najgłupszy rząd w Europie

Nowa formacja, aktualnie mająca status stowarzyszenia, nazwana została nieco megalom-



Rys. KRZYSZTOF OLENIK

mańsko Alians Sahry Wagenknecht na rzecz Rozsądku i Sprawiedliwości (w skrócie BSW) i ma być zaledwie zaczynem nowej partii, w której nazwie – jak zapewnia liderka – jej nazwisko się nie znajdzie. Towarzysze z Die Linke nieszczególnie jej wierzą, przypisując ten ruch polityczny jej rozbuchanemu ego. Jednak różnice między starą a nową partią wybiegają daleko poza kwestie personalne.

Po wybuchu wojny w Ukrainie Die Linke, dotychczas jednoznacznie antywojenna i antytatowska, podjęła próbę znalezienia swojego miejsca w antyrosyjskim mainstreamie. Wprawdzie zachowała wierność swojej pacyfistycznej tożsamości, opowiadając się przeciw wysłaniu ukraińskiej armii „broni śmiercionośnej” (mało kto pamięta, ale taki dyskurs przetoczył się przez kolektywny Zachód w zeszłym roku), lecz jednoznacznie popierała wymierzone w Rosję sankcje. Sahra Wagenknecht, występując w Bundestagu w imieniu partii w debacie na temat wojny, miała na ten temat zgola odmienną opinię. W swoim przemówieniu nazwała gabinet Olafa Scholza „najgłupszym rządem w Europie”, zarzucając mu, iż „rozpoczął bezprecedensową wojnę ekonomiczną przeciwko naszemu najważniejszemu dostawcy energii”.

„Tak, oczywiście, że wojna w Ukrainie jest zbrodnią. Ale jak głupi jest pomysł, że możemy ukarać Putina, wypychając miliony niemieckich rodzin w ubóstwo i niszcząc naszą gospodarkę, podczas gdy Gazprom osiąga rekordowe zyski?” – mówiła Wagenknecht, budząc oburzenie w mainstreamie – także wśród swoich towarzyszy partyjnych – i zbierając oklaski od prawackiej faszystującej Alternative für Deutschland (AfD).

Alternatywa dla Alternatywy

I to właśnie jest kluczowym elementem tej awantury. Wagenknecht tłumaczy, że odwołuje się do tych obywateli RFN, którzy nie mają na kogo głosować i z desperacji są gotowi poprzeć neofaszystów. Od wybuchu wojny w Ukrainie notowania AfD się podwoiły – z 10 do ponad 20 proc. Partia, powszechnie uznawana za neonazistowską, ma szansę stać się drugą siłą w Niemczech. Tymczasem badania potencjału nowej formacji Sahry Wagenknecht wskazują, że jest ona w stanie odebrać naziolom poparcie i zepchnąć ich do poziomu 7–8 proc.

Według różnych sondaży od 19 do 27 proc. Niemców mówiło, że może sobie wyobrazić zagłosowanie na nową partię lewicowej liderki. Sondaże zrobione po ogłoszeniu powstania BSW dają ugrupowaniu Wagenknecht 14 proc. – jeden punkt mniej, niż ma dziś SPD Olafa Scholza – głównie kosztem AfD. To sprawia, że mainstreamowy komentariat nie bardzo wie,

jak ją potraktować: z jednej strony mówi straszne rzeczy, ale z drugiej – alternatywa jest jeszcze gorsza.

Odebranie głosów formacji o wyraźnym neofaszystowskim zabarwieniu nie przychodzi jednak bez pewnych kosztów moralnych. Poza głównym przekazem – dotyczącym „racjonalnej” polityki wobec Rosji, co oznacza zniesienie sankcji, które wypychają niemiecką gospodarkę w recesję, pozabawiając ją taniego źródła energii – Wagenknecht musi czynić ukłony także pod adresem ksenofobicznych i antyimigranckich nastrojów panujących w niemieckiej klasie (powiedzmy) robotniczej, która jest coraz bardziej niechętna obcym kulturowo przybyszom.

BSW zapowiada zatem przemysłenie na nowo polityki imigracyjnej Niemiec, podkreślając, że „napływ przybyszów musi być limitowany, aby nie sparaliżował kraju i jego infrastruktury”, dodając z klasową czujnością, że „koszty konkurencji o tani dach nad głową i nisko płatne miejsca pracy czy też efekty nieskutecznej integracji nie są odczuwane przez tych, którzy żyją po słonecznej stronie ulicy”. Trzeba też przyznać, że – w odróżnieniu od antyimigranckiego dyskursu w Polsce – BSW wyraźnie podkreśla, że „każdy, kto jest przesładowany w swoim kraju, ma prawo do azylu politycznego”.

Klimat, kultura, Ukraina

Inny element, tradycyjnie kojarzony z prawicowym populizmem, obecny w przekazie nowej partii, to sceptyczne podejście do polityki klimatycznej. Manifest nowej formacji podkreśla wagę wyzwań klimatycznych, ale dodaje, że koszty nowych rozwiązań ponoszą najbardziej niebezpieczni, co podważa społeczną akceptację walki ze zmianą klimatu. BSW stwierdza także, że niemieckich potrzeb energetycznych nie da się zaspokoić wyłącznie za pomocą dostępnych dziś odnawialnych źródeł energii, toteż „najważniejszy wkład, jaki kraj taki jak Niemcy może wnieść w walkę ze zmianami klimatycznymi i degradacją środowiska, to rozwój innowacyjnych technologii na rzecz neutralnej dla klimatu i przyjaznej dla środowiska gospodarki przyszłości”.

No i wreszcie – co też jest elementem tej samej gry – nowa formacja odżegnuje się od „kultury unieważniania”, czyli dość szeroko uprawianej dziś przez zachodnią lewicę kampanii na rzecz wykluczania z dyskursu poglądów nie dość postępowych, nie dość tolerancyjnych, nie dość nowoczesnych. Można odnieść wrażenie, że mówiąc o „presji na rzecz dopasowania się do coraz bardziej zawężającego się spektrum opinii”, twórcy nowego ruchu mówią nie tylko o zwalczaniu postaw uważanych przez postępowy mainstream za rasistowskie, homo- czy transfobiczne, ale także, a może nawet przede wszystkim, za obowiązujący w elitach i coraz bardziej odrzućany w wielu społeczeństwach (także niemieckim i polskim) obowiązek bezkrytycznego stania u boku Ukrainy i przeciwko Rosji.

W tej sprawie BSW prezentuje opinię radykalnie różną od obowiązującej w elitach. Opowiada się jednoznacznie nie tylko przeciw dalszemu zbrojeniu Ukrainy, ale także za skłonieniem jej do natychmiastowego podjęcia negocjacji pokojowych. Przy okazji dorzuca komentarz pod adresem NATO: „sojusz militarny, którego przywódcy w ostatnich latach najechali pięć krajów z naruszeniem prawa międzynarodowego i zabili w tych wojnach ponad milion ludzi, podsyca poczucie zagrożenia i reakcje obronne, a tym samym przyczynia się do globalnej niestabilności”.

Z tym akurat trudno się nie zgodzić.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

REKLAMA

KRZYSZTOF WODICZKO
POLSKA –
KRAJ MIĘDZY POMNIKAMI

JAKUB DYMEK
OPODATKOWAĆ MILIARDERÓW

MARCIN GIEŁZAK
DWIE LEWICE WE FRANCJI

JACEK PALKIEWICZ
PODRÓŻ PRZES PUSTYNIĘ ETIOPII

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

Ochroniarz

**Zabijanie europejskiej
demokracji przez
skrajną prawicę
i Putina.**



RYS. MARCIN CHUDZIK

Źródło w bardzo tajnej agencji rządowejowało mi się przyrzec pewnej sekwencji zdarzeń i zabroniło myśleć, że to jakaś kolejna teoria spiskowa. To się przyjrzałem...

Zamordyści wszystkich krajów...

Od początku roku 2021 trwały spotkania partii Orbána, Kaczyńskiego, pani Le Pen, hiszpańskiego Vox i włoskich neofaszystów Salvinię. Ugrupowania te łączą trzy rzeczy: niechęć do Unii Europejskiej, demokracji i chęć zdobycia lub utrzymania władzy za wszelką cenę. Tematem rozmów było znalezienie sposobu na zmianę status quo.

Wiosną tegoż roku pojawiły się pierwsze informacje, że przez Litwę i Łotwę na teren Unii przechodzą z Białorusi duże grupy migrantów.

Na początku lipca 2021 r. członkowie skrajnie prawicowych ugrupowań, których przedstawiciele zasiadają w Parlamencie Europejskim, podpisali wspólną deklarację ideową. Deklaracja była sygnowana m.in. przez prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, przewodniczącą Braci Włochów Giorę Meloni, przewodniczącego hiszpańskiego Vox Santiaga Abascale, przewodniczącego Fideszu Viktora Orbána, przewodniczącą Ligi Mattea Salvinię oraz przedstawicieli kilkunastu innych partii. Jeden z zapisów deklaracji dotyczył podejścia do migracji.

Chwilę później migranci z Białorusi ruszyli na Zachód przez Polskę. Rozpoczęło się coś, co PiS nazwało wojną hybrydową, a polegało na przepychaniu uchodźców na stronę białoruską. W Warszawie zapadła decyzja o budowie muru na granicy z Łukaszem. Jednocześnie jednak polski MSZ wprowadzał w konsulatach system sprzedaży polskich wiz przez zewnętrzne firmy.

W lutym 2022 r. Putin zaatakował Ukrainę. Światowa i europejska polityka skoncentrowała się tylko na tym. Polska, oprócz pomagania Ukraincom, zajmowała się też budową muru na granicy z Białorusią. Zagraniczne przedstawicielstwa polskiego państwa pełną mocą harowały nad wydawaniem europejskich wiz mieszkańcom ubogiego Południa.

W czerwcu 2022 r. niemiecka policja federalna wykryła ok. 2 tys. nielegalnych prób wjazdu na teren Niemiec przez granicę czesko-niemiecką. W sierpniu na granicy Czech z Saksonią odnotowano ponad 3 tys. nielegalnych prób wjazdów do Niemiec. Większość uchodźców to Syryjczycy, Afgańczycy i Irakijczycy.

Pod koniec lipca Niemcy stwierdzili łącznie ok. 36 tys. nielegalnych przekroczeń granicy. Do końca sierpnia tylko do Bawarii przybyło 58 tys.

migrantów – pięć razy więcej niż rok wcześniej. I to nie wliczając do tej puli uchodźców wojennych z Ukrainy. Najwięcej nielegalnych wjazdów do Niemiec odbywało się przez granicę z Austrią i Czechami. Także Austria miała do czynienia z największą od 2015 r. liczbą migrantów i osób ubiegających się o azyl. Zarówno Wiedeń, jak i Berlin szybko przywróciły kontrolę graniczną z Czechami – krajem, z którego wlewała się do nich fala migracyjna. Skąd jednak uchodźcy z Bliskiego Wschodu znaleźli się nad Wełtawą? Otóż ze Słowacji. Na niej zaś wzięli się z migrantofobicznych Węgier Orbána. I to mimo że granica serbsko-węgierska zaopatrzona jest w zbudowany w 2016 r. mur. Zapora

zagrywkach nacjonalistycznych i poczuciu zagrożenia. No i tego, że obie partie w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy są członkami tej samej frakcji noszącej nazwę Grupa Europejskich Konserwatystów. Nie wspominając takiego szczegółu jak podejmowanie w polskim sejmie przez Arkadiusza Mularczyka na oficjalnym spotkaniu niemieckiego parlamentarzysty Norberta Kleinwächtera z AfD.

Szczerbata zapora

Jesienią i zimą zeszłego roku przedstawiciele nieniemieckich ugrupowań skrajnej prawicy co kilka tygodni urządzali sobie spotkania. Raz we Włoszech, raz w Polsce, a innym ra-

lecieć do Moskwy, odmówił krytykowania Władimira Putina. „To jest niezwykle skomplikowana kwestia wojskowa, której nikt do końca nie rozumie” – dowodził.

Krytykowania Kremla przed prasą odmówił też gospodarz spotkania, lider skrajnie prawicowego ugrupowania Vox Santiago Abascal. Co ciekawe, kongres odbywał się pod hasłem „Obronę Europy”.

Jesienią zeszłego roku większa część betonowej zapory na granicy polsko-białoruskiej była już gotowa. Im bliżej było końca jej budowy, tym liczniej do Niemiec jeli spływać migranci przechodzący przez Polskę z Białorusi. Jednak prawdziwy ich wysyp nastąpił na wiosnę tego roku.

W lutym migrantów, którzy spłynęli do Niemiec, było 1040, a w kwietniu – 2551. W maju grupa parlamentarna CDU/CSU wezwała rząd Niemiec do wprowadzenia szlabanów na granicy z Polską. Deputowani zrobili to, bo sondaże AfD wybiły się we wschodnich landach Bundesrepublik na ponad 20 proc. Widać było, że im więcej w Niemczech uchodźców, tym popularniejsza staje się skrajna prawica. Zaczęło się to, co wcześniej dało już w Polsce i na Węgrzech wygrać Kaczyńskiemu i Orbánowi – strach przed migrantami dotarł za Odrę. Tak jak uchodźcy.

Od stycznia do lipca przez granicę polsko-niemiecką wjechały nielegalnie 14 303 osoby. O połowę więcej niż rok wcześniej, gdy muru nie było. W lipcu do Niemiec dotarło przez Polskę kolejnych 2335 osób. Fala migrantów nie opadała.

Migranci rejestrujący się w Niemczech to jednak nie wszyscy, którym udało się pokonać barierę na granicy z Białorusią. Nie ma danych dotyczących tego, ile osób przejechało przez Niemcy i zostało zarejestrowanych w innych krajach Zachodu. Fachowcy uważają więc, że do migrantów z Niemiec trzeba doliczyć jeszcze co najmniej połowę z tego. Wyjdzie więc, że od początku roku przez nieprzekraczalną – według PiS – granicę z Białorusią wpłynęło na Zachód ok. 27 tys. osób. Przez mur z Białorusią przechodzi co najmniej dwa razy tyle osób, co wyłapuje i cofa polska straż graniczna.

Migranci dają władzę

Ponieważ notowania AfD w zachodnich landach zaczęły dościgać wyniki z landów wschodnich, rząd Niemiec nie miał wyjścia i wprowadził – na razie mobilne – kontrole na granicy z Polską.

Na dodatek do naszego MSZ zaczęli słać noty dyplomaci z zachodu Europy. Pojawienie się u nich dziesiątek tysięcy obywateli całego świata z polskimi wizami Schengen wzbudziło co najmniej zaniepokojenie rządów. I oczywiście jeszcze większe oburze-

nie w partiach skrajnie prawicowych. Co ciekawe, żadna z nich nie wspominała, skąd się wzięli migranci. Nie wspomniano ani o Polsce, ani o Węgrzech. To chyba nie przypadek.

Zwłaszcza że od końca wakacji Orbán na nowo uruchomił szlak zachodniobałkański. Na małą Słowację znów ruszyła lawina uchodźców. Tym razem jednak nie idą oni przez Czechy, bo tam wciąż stoją kontrole, i niemieckie, i austriackie, ale przez Polskę.

We wrześniu polska staż graniczna złapała 10 razy tyle osób migrujących ze Słowacji co rok wcześniej.

Na Słowacji były wybory. Dla Kaczyńskiego i Orbána najlepiej byłoby, gdyby je wygrał Robert Fico. Facet nie lubiący demokratycznych więzów tak jak autokraci w Warszawie i Budapeszcie.

Puszczenie na Słowację tysięcy migrantów było więc prezentem dla słowackiego populisty w wyborach. Orbánowi się opłaciło – Fico wygrał. Teraz będzie mógł – niczym premier Węgier – prowadzić politykę tyleż antyukraińską, co antyunijną.

Migracyjny prezent od nienawidzącego przecież uchodźców Orbána dostał też Morawiecki. Mógł dzięki temu postawić na granicy ze Słowacją szlabany, udowadniając, jaki to jest skuteczny w walce z nielegalnymi migrantami. I oczywiście udowodnił. Orbán wydał odpowiednie dyspozycje, a jego mur z Serbią znów zaczął być szczelny i liczba migrantów ze Słowacji spadła. Oczywiście

do czasu, gdy polityczny interes prawicowej międzynarodówki hipokrytów przemycających ludzi oraz Władimira Putina znów nie będzie potrzebował, by wybory w kolejnym kraju były pomyślne dla któregoś z jej autorytarnych przyjaciół.

TADEUSZ JASIŃSKI



RYS. TOMASZ WATKIN

nieprzekraczalna ponoć dla migrantów idących z Serbii nagle przestała działać. Zachodniobałkański szlak migracyjny do Niemiec i Austrii został otwarty. Na razie lekko, ale przecież brama do zachodniej Europy mogła rozewrzeć się całkiem.

Do Budapesztu zaczęto dzwonić z Berlina i Wiednia. Potem z Brukseli. W końcu Unia wysłała na rozmowy z Orbánem kanclerza Austrii. Widać było one dla Budapesztu satysfakcjonujące, bo nagle migranci niemal przestali się w Słowacji pojawiać, a węgierski KPO ruszył z miejsca. Ruszyło coś jeszcze – notowania skrajnie prawicowej niemieckiej AfD. Partii, z którą antyniemiecki PiS nie ma przecież oficjalnie nic wspólnego oprócz programu opartego na tanich

zem w Hiszpanii. Oficjalne komunikaty informowały, że partie zwierają siły i dogrywiają szczegóły współpracy.

W grudniu w trakcie zjazdu z Warszawy liderka francuskiego Zgromadzenia Narodowego Marine Le Pen się wysypała. Powiedziała: „Można mówić, co się chce, ale Ukraina należy do sfery wpływów Rosji. Próbuje naruszyć tę strefę wpływów, tworzy się napięcie, lęki i dochodzi się do sytuacji, jakiej dziś jesteśmy świadkami”.

W czasie następnego sabatu prawicy w Madrycie Le Pen odmówiła paraowania części deklaracji odnoszącej się do Ukrainy i Rosji. „Nie mamy takiego samego stanowiska w odniesieniu do sprawy ukraińskiej” – tłumaczyła.

Po zakończeniu madryckiego zlotu Viktor Orbán, który za chwilę miał

Daleko od Zachodu.

Wybieranki cacanki

W naszym silnie spolaryzowanym kraju obie zwalczające się strony zaklinają się na demokrację, zapewniają, że ją szanują, a w rywalu upatrują jej wroga. Przyjmuje się prawie bezdyskusyjnie, że wyzwalając się z zależności od ZSRR w 1989 r., Polska dołączyła do świata demokratycznego, do którego rzekomo odzyskania niepodległości w 1918 r. należała. Warto tę pozytywną legendę sprawdzić, biorąc pod uwagę dwie cechy konstytucyjne współczesnej demokracji: wolne i uczciwe wybory wraz z pokojową wymianą rządzących ekip oraz respekt dla praw należnych mniejszości.

1.

Zacznijmy od wyborów. W ciągu 105 lat od odzyskania niepodległości społeczeństwo polskie wybierało parlament 27 razy. Sześć razy w okresie międzywojennym, 11 razy w Polsce Ludowej, wliczając kontraktowe wybory z 4 czerwca 1989 r., oraz 10 razy w III RP. Za w pełni demokratyczne w II RP historycy uznają jedynie wybory do Konstytuancy w 1919 r. Kolejne w 1922 r. odbyły się na podstawie demokratycznej ordynacji wzorowanej na francuskiej i nie budziły zastrzeżeń, jednak kadencja sejmiku została w maju 1926 r. przerwana wojskowym zamachem stanu i pod jego presją przebiegała pozostała jej część.

Wybory 1928 r. zostały po części sfalszowane, głównie w województwach wschodnich, a powyborcza kadencja przebiegała pod presją wojskowej dyktatury Józefa Piłsudskiego. W 1930 r. sejm przedterminowo rozwiązano, przywódców opozycji aresztowano i postawiono przed sądem, haniebnie urągając prawu (proces brzeski). W konsekwencji wybory zwane brzeskimi masowo sfalszowano, zwłaszcza w województwach wschodnich, gdzie obowiązywał stan wyjątkowy. Typowy obrazek z Wołynia: po nabożeństwie w cerkwi dorośła ludność ustawia się w pochód, na czele pop i komendant posterunku policji, w rękach karty do głosowania z numerem Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR). Pochód udaje się do lokalu wyborczego i jawnie wrzuca karty do urny. Mimo to obóz rządowy nie zdobył większości konstytucyjnej, tylko zwyczajną.

Przygotowaną nową konstytucję w kwietniu 1935 r. na kilka tygodni przed śmiercią Piłsudskiego uchwalono podstępem. Ta konstytucja zlikwidowała demokratyczne wybory w ogóle, pozbawiając partie prawa zgłaszania kandydatów i powierzając to specjalnym zgromadzeniom „obywateli zasłużonych” składającym się wyłącznie ze zwolenników rządu. Senat zaś mianował prezydent. W rezultacie sejmy pochodzące z wyborów w 1935 i 1938 r. składały się z przedstawicieli ugrupowania rządowego (BBWR i OZN) oraz niewielkiej grupy lojalnych przedstawicieli mniejszości narodowych.

W Polsce Ludowej jedynie wybory w 1947 r. odbyły się na podstawie demokratycznej ordynacji z 1922 r.,

Rys. MARGIN CHUDZIK

ale zostały całkowicie sfalszowane. We wszystkich następnych wyborach kandydatów na posłów ustalała rządząca partia, a wyborca – głosując najczęściej jawnie – mógł to tylko akceptować. Dopiero w ostatnich wyborach z 4 czerwca 1989 r. kandydowali również przedstawiciele solidarnościowej opozycji, ale wynik tej rywalizacji został wstępnie ustalony w kontrakcie okrągłego stołu. Jedynie nowo powołany senat wybierano w pełni demokratycznie w głosowaniu większościowym: 99 mandatów na 100 zdobyła Solidarność, na którą głosowało 60 do 70 proc. wyborców przy 62-procentowej frekwencji.

2.

Wybory do sejmiku i senatu w III RP odbyły się 10 razy. Sam akt wyborczy nie wzbudzał kontrowersji. Nie kwestionowano uczciwości komisji wyborczych i rzetelności liczenia głosów. Zliczanie na wyższym szczeblu, okręgowym i krajowym, też pozostawało pod publiczną kontrolą, każda bowiem komisja obwodowa po zakończeniu pracy swój protokół wywieszała do powszechnej wiadomości.

Duże wątpliwości co do rzetelności całej procedury wyborczej nasuwała

natomiast kampania przedwyborcza i rola publicznych, finansowanych przez budżet państwa mediów, które w coraz większym stopniu – a w wyborach 2019 i 2023 r. już całkowicie – były zawłaszczane przez rządzącą partię. W rezultacie wybory przestały być równe, opozycję bowiem zdyskryminowano już w czasie kampanii. Ogromnie też wzrosło finansowanie kampanii partii rządzącej z funduszy publicznych oraz wspieranie jej przez państwowe służby policyjne w przeróżny, często przestępczy sposób. Te nadużycia drastycznie naruszały zasadę równości wyborów i miały wpływ na ich wynik. Gdyby ostatnie wybory z 15 października 2023 r. i pod tym względem były uczciwe i równe, przewaga partii opozycyjnych nad rządzącym PiS byłaby znacznie większa niż osiągnięte 54 mandaty.

Wśród innych mankamentów demokracji współczesnej proces wyborczy w Polsce wymienić należy znaczną liczbę obywateli pozbawionych biernego prawa wyborczego administracyjnie, bez sądu, na podstawie ustaw lustracyjnych i dekomunizacyjnych – zjawisko w krajach Zachodu nieznane ani współcześnie, ani historycznie. Inny czynnik odróż-

niający niekorzystnie nasze procedury wyborcze od zachodnich to duża ingerencja w nie państwa. Nadmiar komisji wyborczych powoływanych administracyjnie, ustawowo regulowany dostęp wolontariuszy do kontroli wyborczej poprawności itp.

W Wielkiej Brytanii, ojczyźnie współczesnej demokracji wyborczej, nie istnieje żadna państwowa komisja wyborcza. Organizacją wyborów w swoim terenie zajmują się samorządy. Okręgi są jednomandatowe, przebieg głosowania może obserwować każdy obywatel. Liczenie głosów zwykle odbywa się w szkolnej sali gimnastycznej, na kilku zestawionych stołach wysypywane są karty, a zespół wyznaczony przez burmistrza liczy głosy na oczach zgromadzonej pod ścianami publiczności i wszystkich kandydatów. Podliczenie akceptuje burmistrz i ogłasza zwycięzcę, który odbiera gratulacje od rywali. Na tym procedura wyboru się kończy, nowo wybrany *member of Parliament* z protokołem podpisanym przez burmistrza udaje się na pierwsze posiedzenie nowej Izby Gmin. Żaden organ państwowy w tym procesie nie uczestniczy, a kwestie sporne rozstrzyga miejscowy sąd. Podobnie wyglądają wybory w innych krajach wzorujących się na systemie Wielkiej Brytanii. Nieco inaczej zorganizowane są wybory prezydenckie w USA, gdyż odbywają się w dwóch etapach i są dostosowane do federacyjnego charakteru państwa. Obywatele wybierają elektorów, a ci – wskazanego przez obywateli prezydenta.

Jeszcze jedno odróżnia współczesną Polskę od Zachodu w kwestii wyborów, mianowicie niski poziom społecznego zaufania i szacunku dla werdyktu wyborczego. Najwyższy na lewicy i w centrum, a znikomy na prawicy.

W rezultacie zwolennicy Prawa i Sprawiedliwości po wyborach, w których ich partia uzyskiwała kilkumandatową przewagę, bez żenady ogłaszali się reprezentantami całego narodu, a ostatnio, gdy opozycja demokratyczna uzyskała nad PiS przewagę 54 mandatów, nadal mienią się zwycięzcami i oczekują powierzenia im przedstawicielowi fotela premiera. Nawet prezydent pochodzący z ich partii w oficjalnym oświadczeniu uznał kandydata PiS Mateusza Morawieckiego i kandydata opozycji Donalda Tuska za równie poważnych.

Demokrację, która legitymuje się w miarę poprawnymi wyborami w liczbie pięć na 107, trudno uznać za kompletną i dojrzałą. Pod względem kryterium wyborczego pozostaje demokracją z dużym znakiem zapytania. Tym bardziej że ten niezbyt budujący obraz nie został narzucony zewnętrzną przemocą ani w okresie międzywojennym, ani obecnie po zwrocie 1989 r. W obu tych okresach suwerenność Polski nie ulegała wątpliwości, a jednak proces wyborczy stopniowo tracił cechy demokratyczne i ewoluował w złą stronę. Jedynie w Polsce Ludowej, uzależnionej pod względem ustrojowym od Związku Radzieckiego, likwidacja demokracji wyborczej była narzucona siłą zewnętrzną.

3.

Podobnie przedstawia się sprawa respektu dla praw mniejszości. Ten postulat demokracji był ignorowany w Polsce prawie bez przerwy, z wy-

jątkiem kilku pierwszych lat niepodległości. W okresie międzywojennym dyskryminowane były mniejszości narodowe stanowiące 30 proc. ludności państwa. Najliczniejsi byli Ukraińcy (4 mln) i Żydzi (3 mln). Z powodu tak licznych mniejszości Polska musiała w 1919 r. podpisać specjalny traktat, zwany małym traktatem wersalskim, w którym zobowiązała się do respektowania praw tych mniejszości, a Ukraińcom gwarantowała autonomię. Polska niechętnie te zobowiązania zaciągała i nigdy ich nie wypełniła, budowała państwo rządzone przez Polaków i tylko dla Polaków. W tym państwie administracja była wyłącznie polska, nawet wójtami byli wyłącznie Polacy. Także cała policja i wojskowy korpus oficerski. Zlikwidowano wszystkie państwowe szkoły średnie z ukraińskim językiem wykładowym, w zabrze austriackim dość liczne. Żydów czekały na uczelniach państwowych getta ławkowe i zasada numerus clausus. Obiecany ukraiński uniwersytet nigdy nie powstał. Od 1930 r. na Kresach Wschodnich trwała faktyczna wojna polsko-ukraińska. Nacjoniści ukraińscy stosowali zbrojny terror (w 1934 r. zastrzelili ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego), a władze polskie odpowiadały na to stanem wyjątkowym i sądami doraźnymi (ponad 200 wykonanych wyroków śmierci) oraz obozem koncentracyjnym w Berezie Kartuskiej, a także masowymi pacyfikacjami wsi ukraińskich przez wojsko. Pod okupacją niemiecką ta wojna przekształciła się w masowe rzezie polskiej ludności wiejskiej na Wołyniu i w Galicji. Słusznie oczekujemy od Ukrainy rozliczenia się z tych zbrodni. Zapominamy jednak o grzechach własnych. To nie Polak, lecz amerykański historyk Timothy Snyder odnalazł w aktach polskiego państwa podziemnego plany rozwiązania „kwestii ukraińskiej” po wojnie poprzez wysiedlenie z Polski całej czteromilionowej ludności ukraińskiej. Masowe dyskryminowanie mniejszości narodowych było głównym powodem autorytarnej deformacji międzywojennego państwa.

Po II wojnie światowej Polska odrzuciła się już bez mniejszości narodowych. Żydów wymordowali Niemcy, a podyktowana przez zwycięskie mocarstwa przy sprzeciwie polskiego rządu emigracyjnego i większości społeczeństwa zmiana granic uwolniła Polskę od innych mniejszości. W tej dość komfortowej sytuacji nasze władze państwowe przy poparciu znacznej części społeczeństwa wymyśliły sobie i instrumentalnie wykorzystwały do celów wewnętrzno-politycznych nowe mniejszości do zwalczania. W Polsce Ludowej w 1968 r. syjonistów i erupcję antysemityzmu bez Żydów. Po 1989 r. zaś kolejne erupcje antykomunizmu bez komunistów, kierowane przeciw wszystkim rzeczywistym i urojonym przeciwnikom, od początku deformowały odradzającą się demokrację (ten proces opisał przekonująco prof. Andrzej Romanowski), a stopniowo też inne mniejszości dodawano na listę wymaginowanych wrogów, przede wszystkim seksualne i obyczajowe oraz praktycznie nieobecnych w Polsce migrantów muzułmańskich z Azji i Afryki. Specjalizowało się w tym bezmyślnym i barbarzyńskim procederze PiS, czyniąc Polskę pod tym względem dziwolągiem Europy. To oczywiście odbiło się ujemnie na poziomie demokracji.

4.

W konsekwencji mamy w naszym kraju znaczny deficyt demokracji lub demokrację ze znakiem zapytania. Zawinione nie tylko przez PiS, choć jego wina jest największa.

Nie ma czystego sumienia również Platforma Obywatelska, która w okresie sojuszu z PiS-em w zwalczaniu rządu SLD z zapałem uprawiała antykomunizm bez komunistów, forsowała fałszywe historyczne i budowała IPN, nie przypuszczając, że pisowcy przeciw niej posłużą się tą bronią. Te deficyty demokracji trzeba nazwać po imieniu. Bez tego nie da się ich przezwyciężyć i pod względem jakości demokracji dołączyć do Europy nie tylko formalnie, lecz także ideowo i mentalnie.

M.Z.

**Czy po wyborach
może się coś zmienić
w polskim sporcie?
Może. I to dużo.**



ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

Zmarzlik, lodownia, mróz

Oczywiście skoczkowie nie zaczną wyżej ska-
kać, biegacze szybciej biegać, a piłkarze celniej
strzelać na bramkę. Wiadomo jednak, że zawo-
dowy sport napędzają pieniądze. Strumień pań-
stwowej gotówki może po wyborach popłynąć
w innych kierunkach.

Większą część życia spędziłem w PRL i dobrze
poznałem ówczesny sport. Prezes PiS Jarosław
Kaczyński robi wiele, aby nasz kraj upodobił
się do najwidoczniej bliższej mu ludowej ojczy-
zny. „Partia kieruje, rząd rządzi” – brzmiało
jedno z haseł lansowanych w minionym okresie.
No więc w Polsce Kaczyńskiego partia, czyli on
sam wraz z gronem najbardziej zaufanych osób,
kierowała, a na rządowe posady posyłano po-
mniejszych, ale też ważnych działaczy. Kultura
fizyczna, wedle sprawdzonych Gierkowskich za-
sad, otrzymała od partii istotne propagandowe
zadania.

Spółki sypią kasą

W przyśpieszonym tempie sport zaczął trafiać
pod skrzydła spółek skarbu państwa, nad który-
mi PiS miało (i jeszcze ma) całkowitą kontrolę.
Skupię się na żużlu, którego jestem kibicem.

Czarny sport to kosztowna zabawa. Najlepsza
na świecie liga nazywa się oficjalnie PGE Eks-
traliga, z czego wniosek, że państwowa grupa
energetyczna jest głównym sponsorem rozgry-
wek. Z wyjątkiem ekstraklasy siatkarzy wszyst-
kie ważniejsze ligi w różnych dyscyplinach mają
u nas w nazwie państwowe spółki.

Co ciekawe, przedstawiciele Ekstraligi wyja-
śniają, że PGE dopuszcza do reklamowania pod-
czas zawodów innych konkurencyjnych wobec
swojej działalności spółek skarbu państwa. Zda-
niem Przemysława Szymkowiaka z Ekstraligi
jest to ogromny ukłon PGE dla klubów żużło-
wych w trudnych gospodarczo czasach. Gdzie
tu jednak ekonomiczny sens? Czy zdrowo zarzą-
dzana firma dopuściłaby do tego, żeby podczas
sponsoringowej przez nią imprezy reklamowali
się konkurenci?

Mistrzowski tytuł zdobyli rajderzy Motoru
Lublin. I tu mamy problem. Wybrany na sena-
tora z listy paktu senackiego honorowy prezes
Stali Gorzów Władysław Komarnicki już dzień
po wyborach zapowiedział w mediach społecz-
nościowych, że stanie na głowie, żeby Motor
nie miał pieniędzy na przyszły sezon. Chodzi
o to, że klub, którego oficjalna nazwa brzmi od
niedawna Platinum Motor Lublin, jest zasilany
gotówką nie tylko przez Orlen, na co wskazu-
je nazwa, ale przez chyba wszystkie istniejące
spółki skarbu państwa. Czy gdyby nie ten fakt,
działacze z Lublina mogliby sobie pozwolić na
sprowadzenie najlepszych żużlowców? Nawet
nie próbuję zgadywać, ile kosztowało zakontrak-
towanie czterokrotnego mistrza świata Bartosza

Zmarzlika. Tym bardziej że wychowanek Sta-
li Gorzów zawsze podkreślał przywiązanie do
barw klubu, w którym uczył się ścigania. Pamię-
tam wywiady, w których tłumaczył, że nie ma
zamiaru ruszać się z domu, choćby proponowali
mu podróże helikopterem (ponoć proponowa-
li). Propozycja z Lublina naprawdę musiała być
z gatunku tych nie do odrzucenia.

Wiadomo także, że Bartosz Zmarzlik ma in-
dywidualny kontrakt z Orlenem i w ogóle obok
byłego kierowcy Roberta Kubicy jest oczkiem
w głowie prezesa Daniela Obajtka. Czy jest to
przyjaźń trwała, za jakiś czas się okaże. Jeśli
sprawy dla obecnego jeszcze prezesa Orlenu
potoczą się w złym kierunku, być może Zmarz-
lik dowozi mu będzie na motocyklu paczki do
aresztu.

Nad wszystkim czuwa minister Sasin

Skąd taka miłość spółek skarbu państwa aku-
rat do żużlowców Motoru Lublin? Mówi się, że
ich sympatykiem jest wciąż obecny minister ak-
tywów państwowych Jacek Sasin. A to on decy-
duje o rozdzielaniu pieniędzy na sport.

Czy Sasin rzeczywiście mocno trzyma kciuki
za lubelski klub i za pośrednictwem podległych
sobie spółek spełnia wszystkie jego finansowe
fanaberie? Naprawdę nie wiem. Nigdzie tego
oficjalnie nie powiedział. Tu jednak przypomi-
nam sobie czasy, gdy mieszkalem w Sankt Pe-
tersburgu i chodziłem na mecze piłkarskie miej-
scowego Zenitu.

Zenit Petersburg o głowę przerastał inne
drużyny, mógł sobie pozwolić na kupowanie
najlepszych piłkarzy i trenerów. Oczywiście
sponsorem klubu był arcybogaty Gazprom, kon-
cern ręcznie sterowany przez władze. Chociaż
jako przyszywany petersburżanin kibicowałem
drużynie, to nie na tyle bezkrytycznie, żeby nie
widzieć, że sędziowie także sprzyjali mistrzom
znad Nowy.

Prezydent Putin nigdy głośno nie przyznał,
że sprzyja Zenitowi, ale wszyscy – nie wiadomo
skąd – to wiedzieli. W sumie więc nie jest nawet
takie istotne, czy Putin rzeczywiście kibicował
Zenitowi, czy nie kibicował, ważne, że wszyscy
uważali go za fana drużyny. Podobnie może mieć
się sprawa z Jackiem Sasinem i żużlowcami Mo-
toru. W ustrojach autorytarnych podwładni są
zobowiązani zgadywać, co tkwi w mózgach par-
tyjnych przełożonych. Nie trzeba im tego głośno
mówić.

W każdym razie, gratulując sukcesów żuż-
lowcom Motoru, Sasin zauważył, że napawa go
duma, gdy na kombinacjach zawodników wi-
dzi logotypy aż trzech spółek skarbu państwa.
Jak wyjaśnił, spółki te nie tylko prowadzą dzia-
łalność rynkową nastawioną na zysk, ale odgry-
wają też ważne role społeczne.

Działacze do dzielenia

Moje zdanie na temat hojnego finansowania
z państwowej kasy lubelskiego klubu? Oczy-
wiście w sporcie wszyscy powinni mieć równe
szanse. Skoro decydujemy, że ta dziedzina roz-
rywki ma być opłacana z publicznej kasy, roz-
dzielajmy fundusze sprawiedliwie. Niech spółki
skarbu państwa wpłacają daniny do Ekstraligi,
a ta przelewać je będzie do poszczególnych klubów
(tak dzieje się z niemałymi pieniędzmi za
prawa do transmisji telewizyjnych od Canal+).

Wpis senatora Władysława Komarnickiego
– co zrozumiałe – nie wszystkim się spodobał,
bo nie tylko Sasin kibicuje Motorowi. Senator
prędko rozwinął więc swoją myśl. Niech spółki
naład placą na żużel, ale o podziale pieniędzy
niech decydują działacze sportowi, a nie widzi-
misi prominentów. Partyjnym bonzom trudno
oczywiście zrezygnować z tego przywileju, bo słu-
ży umacnianiu władzy, a składane hołdy pozy-
tywnie wpływają na ich samoocenę.

Znów krótka osobista refleksja. Doskonałe
znam sport z czasów PRL i bankiety wyprawia-
ne przez działaczy dla funkcjonariuszy PZPR
różnych szczebli. Czasem zapraszano na nie
w roli paprotek dziennikarzy i moja wątroba do
dziś je pamięta. Wówczas obowiązywał ten sam
system co dziś.

**W PRL o rozdziale pie-
niędzy decydowała par-
tia. PiS niczego nowego
nie wymyśliło. Mam
nadzieję, że nowy rząd,
gdy już wreszcie po-
wstanie, nie pójdzie tą
drogą. Sądy odda w ręce
sędziów, a sport w ręce
mądrych działaczy.**

Może należałoby zaprzestać finansowania
wyczynowego sportu przez państwowe spółki
i przelewania pieniędzy z budżetu?

Jeżeli będziemy przy władzy...

Na lubelski klub żużlowy spłynęły pieniądze ze
spółek skarbu państwa, ale działacze bezmyślnie
ich nie trwonili. To trzeba przyznać. W ciągu kil-

kunastu lat zbudowali nie tylko zdrową strukturę
sportową, ale także całą kulturę kibicowską. Tro-
chę zapominamy o czasach pandemii. Trybuny
stadionów zamknięto dla kibiców. W Lublinie
fani wynajmowali podnośniki i z nich oglądali za-
wody. Wyrastał cały las tych podnośników. Było
w tym coś wzruszającego. A jeśli chodzi o doko-
nania sportowe, warto wspomnieć, jak rozwinęto
karierę juniora, dwukrotnego mistrza świata w tej
kategorii wiekowej Mateusza Cierniaka i odbu-
dowano formę Szweda Fredrika Lindgrena oraz
Australijczyka Jacka Holdera, którzy w poprzed-
nich klubach wydawali się zagubieni. O zdobyciu
dwa razy z rzędu mistrzostwa Polski nawet nie
ma co mówić.

Wielkim problemem Lublina jest stadion.
Gdyby władza PiS się utrzymała, działacze
mogliby myśleć o nowym obiekcie dla swoich
wspianych fanów. Obecny znajduje się na pod-
mokłym terenie i wystarczy niewielki deszcz,
aby zawody trzeba było odwoływać. Tuż przed
wyborami nowy stadion lublinianom obiecał
sam Jarosław Kaczyński: „Jeżeli będziemy przy
władzy, to w przyszłym roku wpiszę ten sta-
dion do programu inwestycji strategicznych,
dofinansujemy i stadion tak bardzo potrzebny
powstanie”. No właśnie: jeżeli będziemy przy
władzy...

Speedway jest w Polsce fenomenem. W ża-
dnym innym kraju ligowe rozgrywki nie cieszą
się takim powodzeniem, zawodnicy nie stają się
idolami, a telewizja bezpośrednio nie relacjonu-
je trzech poziomów rozgrywkowych. Dla zagra-
nicznych rajderów startowanie w naszej drugiej
lidze (trzeci poziom rozgrywek) jest już powo-
dem do dumy.

Kampania stadionowa

Sasin i Kaczyński nie są jedynymi politykami,
którzy starają się pozyskiwać przychylność ki-
biców na stadionach żużlowych. Pionierem pod
tym względem jest nieoceniony europoseł PiS
Ryszard Czarnecki, który od lat z niezmiennie-
nym samozaparciem pojawia się na zawodach
i nie zrażają go przeraźliwe gwizdy z trybun.
Uśmiech nigdy nie znikną z jego puculuowanej
twarzy.

Wyrazisty poseł Solidarnej Polski Janusz Ko-
walski otwarcie wspierał w kampanii wyborczej
Kolejarza Opole. Oczywiście do sejmu kandydo-
wał z Opola. Jego prawicowym kolegą Bartłomiej
Wróblewski nie mógł sobie odmówić obecności
na żużlowym stadionie w rodzinnym Poznaniu.
Żeby nie było, iż wymawiam nagłe zaintereso-
wanie czarnym sportem wyłącznie prawicy, do-
dam, że w Rzeszowie kibicował motocyklistom
Stali Paweł Kowal z Platformy Obywatelskiej.

Przedstawiając Michała Kołodziejczaka
z Agrounii jako kandydata w wyborach z listy
Koalicji Obywatelskiej, Donald Tusk nazwał
go „niezłym kozakiem”. Ponieważ Kołodziej-
czakowi najbardziej zależało na głosach mieszk-
kańców wsi, w kampanii ten niezły kozak wsiadł
na skuter i jeździł nim od wsi do wsi i od małej
miejscowości do małej miejscowości. Widocz-
nie tak spodobała mu się jazda jednośladem,
że nie odmówił sobie wizyty w drugoligowym
Starcie Gnieźno. Działacze byli zachwyceni.
W mediach społecznościowych z dumą pokazali
prezent otrzymany od Kołodziejczaka: żużlowy
silnik dla młodzieżowej szkoły klubu.

Może byłoby lepiej, gdyby ograniczyć się do
słów, a nie prezentowali fotografię. Krzysztof
Cegielski do momentu fatalnego wypadku na
torze w Szwecji, który posadził go na 10 lat na
wózku inwalidzkim, był znakomitym żużlow-
cem. Dziś jest cenionym komentatorem telewi-
zyjnym tego sportu. Natychmiast zauważył, że
prezentowany na fotografii silnik nie jest nowy.
„Szkoda” – napisał. Tu trzeba zaznaczyć, że Ko-
łodziejczak i tak się wykoszował. Nowy silnik
żużlowy to wydatek ok. 40 tys. zł. Za silnik uży-
wany trzeba zapłacić kilkanaście tysięcy. Micha-
łowi Kołodziejczakowi wydatek i tak się opłacił.
Jednośladem dojechał do sejmu.

Wyścigi na żużlu to małeńki wycinek polskie-
go sportu. Ale już na tym przykładzie widać, ile
do zrobienia będzie miała nowa władza. Oczywi-
ście są pilniejsze sprawy. Reforma sądownictwa,
szkolnictwo, spółki skarbu państwa, ochrona
zdrowia, rozliczenie afer... Sport też trzeba bę-
dzie kiedyś oczyścić, co wcale nie będzie łatwe.
Postaram się wskazywać te miejsca, którymi
nowa władza powinna się zająć. Tematów mi nie
zabraknie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,

Edyta Baker, [Małgorzata Daniszewska], Idalia Dubicka,

Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński,

Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz,

Agneszka Wolk-Laniewska, Marek Sanowski.

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,

tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;

tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:

NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć,
dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy
sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz
listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych
tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpo-
wiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,

e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:

Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600

www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio

na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować

na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl

lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta

pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803

– czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰– 17⁰⁰.

(koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:

Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zama-
wiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75

www.ruch.com.pl

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta

(koszt połączenia wg taryfy operatora):

• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803

• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,

3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,

L4X 2E6 Kanada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,

www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 31.10.2023 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Mózg człowieka można porównać do mostka kapitańskiego na statku lub do kokpitu myśliwca – tam powstają niemal wszystkie decyzje dotyczące jednostek pływających i latających. Dzięki reakcjom chemicznym mózg decyduje o nastrojach człowieka, jego samopoczuciu, zachowaniach i działaniach, a nawet o zdrowiu czy chorobie.

Obecnie prowadzi się bardzo zaawansowane badania nad różnicami w budowie i funkcjonowaniu mózgów osób z dyskalkulią rozwojową. Dyskalkulia rozwojowa jest zaburzeniem zdolności wykonywania działań arytmetycznych lub w ogóle pojmowania liczb, ich znaczenia i wartości. Uznaje się, że jest to specyficzne zaburzenie rozwojowe o podłożu środowiskowym lub genetycznym. Do niedawna dyskalkulią określano również podobne objawy wynikające z organicznego uszkodzenia mózgu, obecnie diagnozą określającą taki stan jest akalkulia.

Istnieje wiele przesłanek, które mówią, że dyskalkulia może mieć podłoże genetyczne. Zmiany dotyczą genu DCDC2 zlokalizowanego na szóstym chromosomie. Badane są zwłaszcza geny 1, 2, 3 i 15. Gen 15 DYX1S1 prawdopodobnie wywołuje takie zmiany w rozwoju mózgu, w postrzeganiu wzrokowym i słuchowym, które objawiają się właśnie dyskalkulią.

Mózg osoby z dyskalkulią bardzo trudno adaptuje się do przetwarzających się bodźców. Czyli każdy kolejny kontakt człowieka z informacją matematyczną odczytywany jest przez mózg jak nowość.

Weźmy mózg osobnika, który ma trudności z rozstrzygnięciem tego, która liczba jest większa: 248 czy 194.

– Andrzej, kurwa twoja jebana mać, 248 jest zawsze większa niż 194. Rozumiesz? – pyta nauczyciel.

– Rozumiem – odpowiada osobnik.

Po trzech minutach nauczyciel pyta osobnika:

– Andrzej, która liczba jest większa, 248 czy 194?

– Są równe – odpowiada osobnik cierpiący, co już wiemy, na dyskalkulię.

– Kurwa... – wzdycha załamany nauczyciel.

Czy da się zrobić coś, żeby osoby z dyskalkulią ograniczyły jej zły wpływ i degradujący społecznie i osobowościowo wpływ? Jeśli tak, to co należałoby uczynić?

Są dwa zasadnicze podejścia do rozwiązania tego problemu. Pierwsze: wbijanie do głowy osobnikowi dotkniętemu dyskalkulią najprostszych prawd arytmetycznych.

– Andrzej, dwa jest zawsze większe od jednego – powinien powtarzać cierpliwy nauczyciel, aż osobnik nauczy się tego na pamięć.

Po opanowaniu przez dyskalkulika jednej informacji nauczyciel przechodzi do kolejnej:

– Andrzej, trzy jest zawsze większe od dwóch.

I tak dalej, aż do śmierci nauczyciela lub osobnika z dyskalkulią.

Druga metoda jest prostsza: zostawić Andrzeja z jego zaburzeniem w jego własnym świecie – niech nadal robi z siebie wała. Można mu powiedzieć, że wielki wał jest większy niż mały wał, ale jego mózg i tak tego nie pojmie.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

PS Korzystałem z Wikipedii oraz z artykułu Aleksandry Kubali-Kulpińskiej „Mózg dyslektyczny” zamieszczonego w „Głosie Pedagogicznym”.

Dialogi dam, z których jedna jest duchem

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

wreszcie wpadła na to, dlaczego
GOŚKA DANISZEWSKA z uporem nawiedza ją po śmierci, chociaż żadna z nich nie wierzy w duchy. Umarli nie umieją czytać. Musi jej się strasznie nudzić.

Daniszevska: – A skąd wiesz?

Wołk-Łaniewska: – Fernando Pessoa to powiedział.

– A komu?

– Ricardowi Reisowi. Czyli w zasadzie sobie.

– Mam nieodparte wrażenie, że znowu coś pierdolisz.

– A właśnie że nie, książkę przeczytałam ostatnio...

– A co, mamusia ci kazała?

– No jasne. José Saramago, „Rok śmierci Ricarda Reisa”. Ricardo Reis to heteronim Fernanda Pessoa, który do niego przychodzi po śmierci w eleganckim czarnym garniturze... A propos, mogłabyś się jakoś porządnie ubrać, to gieźło nie przystoi umarłej.

– Heteronim przychodzi do siebie? Czy to w ogóle ma jakiś sens?

– Nie zmieniaj tematu. Gieźło!

– Kiedy widziałas, żebym się porządnie ubrała?

– No niby racja. Nawet na plaży dla milionerów na Korsyce chodziłaś w rozciągniętym podkoszulku z supermarketu.

– No właśnie. To co z tym Reistem?

– Nic, tyle. Reis wraca do Portugalii w 1935 r. na wieść o śmierci Pessoa, który go stworzył jako swój heteronim w roku 1913, żeby pisywać pogańskie wiersze. I rozmawiają przez rok, po czym Reis też umiera, czyli wstaje z fotela i wychodzi za Pessoa... Ja za tobą nie pójdę, żeby nie było wątpliwości.

– Nawet na to nie liczyłam. Powiedz lepiej, czy przyszedł do mnie.

– A co, nie widziałas?

– Ile razy mam powtarzać, że mnie tam nie ma? Jestem tylko w twojej głowie, co pewnie znaczy, że coś z nią jest nie tak...

– A, racja. No więc nie przyszedł. I mamusi nie zabrałam.

– Obiecałaś!

– Próbowałam. Ale nie znalazłam. Mamusia mnie pociesza, że była ostatnio na wykładzie o warszawskich cmentarzach i nawet doświadczeni warsawianści mówią, że tam nic się nie da znaleźć...

– Gdzie?

– Na Powązkach.

– A na których Powązkach ja leżę?

– Na starych. Czyli cywilnych.

– A, to jesteś usprawiedliwiona. Też bym pewnie siebie nie znalazła.

– To dlatego moja mamusia bardzo się cieszy, że my mamy grób na malutkim cmentarzyku ewangelicko-reformowanym, w dodatku przy głównej alejce. Bo jak sobie wyjdzie na spacer, to potem trafi na kwatere. Mamusia w Boga też nie wierzy, ale z duchami już nie jest taka pewna...

– Bycie duchem ma swoje zalety. Nawet jeśli jesteś tylko w czyjejś porabanej głowie...

– Nawiasem mówiąc, u nas na cmentarzu kiedyś chowali ludzi tylko w takich białych gieźlach, niezależnie

od płci. Więc byś pasowała. I jeszcze była zasada, że jeśli nieboszczyk miał długi, a rodzina nie spłaciła ich po jego śmierci, to nie miał wstępu na cmentarz. Kalwini.

– Opowiadaj, co tam jeszcze słychać.

– Straciłam dwóch przyjaciół.

– Umarli?

– Nie, skreślili mnie.

– To przykre.

– Wcale, w ogóle ich nie знаłam.

– Kto ma przyjaciół, których w ogóle nie zna?

– Każdy, kto ma konto na Facebooku. Przyczepiłam sobie palestyńską flagę do zdjęcia profilowego, bo mnie wkurwili ci z flagami Izraela i chciałam dokonać przesiewu, i dwóch nieznanym mi zupełnie mężczyzną postanowiło zasygnalizować cnotę...

– Tak publicznie?

– Sygnalizowanie cnoty to nie to, co myślisz. To termin przypisywany brytyjskiemu dziennikarzowi Jamesowi Bartholomew, który oznacza bezkosztowe demonstrowanie swojej moralnej wyższości poprzez wyrażanie słusznego oburzenia. Dwóch kompletnie nieznanym mi facetów z PiS do rady gminy w Lubuskiem, Zydron i Darowny – skreśliło mnie z listy znajomych. Jeden mi napisał: „Jesteś najzwyklejszym regularnym tumanem”, a drugi, widać lepiej wychowany, zachował formę grzeczno-

ściową: „Jest pani nie tylko tumanem, ale po prostu kurwą”.

– Będzie ci ich bardzo brakowało?

– Niespecjalnie.

– Tak myślałam. I co jeszcze dzieje się na świecie? Rząd mamy?

– Nie mamy. Za to zmiana czasu nastąpiła.

– A rzeczywiście, to już ten czas.

– Okazuje się, że to jakiś wielki polityczny problem, ludzie toczą wielogodzinne dyskusje, ostatnio przeczytałam, że psycholożka z SWPS mówi, że to powoduje – uważaj – „krótszy sen, więcej wypadków w pracy i w ruchu drogowym, gorszą sprawność działania, częstsze ataki serca, a nawet obniżenie średniej długości życia”. Stowarzyszenie Koliber i Fundacja Republikańska cały raport na ten temat wysmarowały: że banki cierpią i transport, i jeszcze biedni przedsiębiorcy: „W czasie przejścia z czasu zimowego na letni pracownicy pracują o godzinę krócej”, a nie można im, o zgrozo, mniej zapłacić. A ja tam lubię zmianę czasu.

– Co tu jest do lubienia?

– Wyznacza upływ czasu, dzieli rok na połowy. Ten czas tak zapierdala ostatnio, że nawet się człowiek nie obejrzy, a tak, jak mu się zegar przestawi, to wie, że jesień. Albo wiosna.

– Umarli czasu nie liczą, całkiem jak szczęśliwi... Więc mam to w dupie.

WOŁK

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 272

